

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 20 (38)

Jerozolima, 16 października 1944 r.

Rok II

TYMON TERLECKI

O W A R S Z A W I E

Gdyby trzeba było i było wolno zgłaszać swój tytuł przynależności do miasta, które dziś wypełnia cały obszar naszej świadomości, całą przestrzeń serca — musiałbym wyznać, że jestem Warszawianinem adoptowanym. Adoptowanym późno i opornie. Póki nie opuściłem Warszawy, póki nie odeszła w strefę snu i tęsknoty — czułem się w niej trochę jak emigrant z innego świata. Zajmowałem wobec niej postawę krytyczną i opozycyjną. Taki proces miała Warszawa z całą Polską doby niepodległej. Ten opór, spór o styl życia, o gest duchowy, dopiero dziś dobiega końca. Wygrywa go — Warszawa. Płaci za to zwycięstwo klęską, jakiej nie znała jej dzieje.

Patrząc w twarz tego miasta — po raz drugi, po raz trzeci czasu tej wojny napiętą najwyższym patosem, wsluchując się w skrzydlatą wzniosłość, szumiącą nad jego głową, dotykając ścierpliw ze zgrozy czuciem jego ran, jego ruin, jego zgorzelisk, krwawego trudu i okrutnej nędzy, nagle widzi się, że to już było, ten patos, wzniosłość, zdolność cierpienia, że to już było w tantym stylu, który wielu z nas drażnił, wielu odpychało. Widzi się więcej jeszcze. Padające mury i opadające pozory otwierają przeziór w historię. Wielkim głosem wystawia ona Warszawę świadectwo, że nie zaparła się siebie, swojej duszy, swojej przeszłości.

Zawsze, przynajmniej od dawna, miało to miasto osobliwą zdolność wiązania żywotnych przeciwieństw, rozwiązywania sprzeczności charakteru i obyczaju. To jest znamię jej wielkości. Może właśnie to, godzenie przeciwieństw w harmonię, stanowi znamię wielkości w ogóle.

Styl nadał Warszawie król, najbardziej niedorośli do chwili dziejowej, a przecież działający w sposób jedynie słuszny wobec przyszłości. Stolica Stanisławowska żyła i nauczyła się żyć kulturą ponad stan, gdy nie można było żyć politycznie na zwykłą, normalną miarę. Prawie jednocześnie powstały w niej Łazienki — kaprys z porcelany, wymyślnie oprawiony w trzy stawy, w Ruysdaelowskie drzewa — i Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które mieściło się wprzód w Staszycowej kamieniczce na Kanonii, nim zaczęło iść przed narodem i świecić, aby nie zgubił drogi pośród nocy.

Była zdolna czcić tak kontrastowych bohaterów, jak szewc Jan Kiliński i ksiądz Pepi, który do Elstery, patetycznej śmierci i grobu na Wawelu zdążył nie tylko etapami trudów żołnierskich, prób sumienia, ale i uroczych skandalów. Ku zgrozie przytomnych tańczyła na grobie matki-ojczyzny, ale biła się i w „świętą rezurekcję” Kościuszkowską, i później, ile razy nadarzyła się sposobność.

Nosi na sobie wstyd za „krytyków i recenzentów warszawskich”, że nie nie pojęli z największego objawienia poezji w mowie polskiej, i żywi chlębę, że w tym samym czasie hodowała najbardziej nieziemskiego i nabardziej uniwersalnego z romantyków, Fryderyka Chopina.

W Noc Listopadową dała życie rebelii uczniowsko-proletariackiej, jednej z najbardziej mimowolnych rewolucji, jakie zna histo-

ria, i zdobyła się na czysty poryw mistyczny, na „rewolucję moralną” sześćdziesiątego pierwszego roku. Umiała jeszcze z jej uniesieniem religijnym w przedziwny sposób pogodzić trzeźwą, drobiazgową zabiegliwość organizacyjną styczniowego powstania.

Prawie jednocześnie wydała warszawskie pokolenie pozytywistów, „organiczników”, głoszących ewangelię „pracy od podstaw” i Or-Otowego pieśniarza, swego barda, w najpełniejszym tego słowa znaczeniu — poetę ludowego.



Kolumna Zygmunta

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

63

Ujazdowskiej już niema Alei,
została Golgota Męstwa.
Ja wykreślam Aleję Nadziei
i Most Zwycięstwa.

Ja nie jestem urbanistą, specem
od ustawiania cegły,
ale moje słowa doleca,
do Niepodległej.

Ockną się martwe ulice,
spojrzą, milcząc:

Dobrzy ludzie, daremnie piszę,
niczem sercu nie umiem pomóc.
Przywołuję libańską ciszę
na pomoc.

Morze. I piękne góry.
I gdzieś tam cedry libańskie...
A ja chciałbym obedrzeć ze skóry
serce bezpańskie.

Wolska, Krakowskie, Waliców,
Krucza, Wilcza,

skrwawiony łeb Żoliborza
padnie na tors Śródmieścia,
upiory szepną: „Może?
Wreszcie!...”,

zarabany powstanie Mokotów,
Praga, wielekroć krwawa,
nieugięta Wola z Ochotą...
Wierzcie: z orlim skrzydeł łopotem
zmarłych powstanie WARSZAWA!

W GÓRACH LIBANU

Potrzebna mi wielka cisza
wśród gór i niebios ogromu,
żebym raz jeszcze usłyszał
głos z domu.

Wiem, ta cisza mną wstrząśnie do gruntu
i przyniesie odgłos echowy,
jak runęła Kolumna Zygmunta
na Plac Zamkowy.

W numerze:

J. Mączewski: Bliski Wschód i mocarstwa.
— Kronika polska. — S. Fischlowitz: Wra-
żenia spod „Krzyża Południa”. — J. Nowak:
Albania. — G. Crowther: Inflacja. — Wier-
sze o Warszawie. Z poezji Polski Pod-
ziemnej: Ulica Warecka. Ulica Opaczewska.
Plac Trzech Krzyży. Aleje Jerolimskie.
Powązki. Warszawa. Ulica Marszałkowska.
Ratusz. Aleja 6-go Sierpnia. Nowy Świat.
Teatr Wielki. Plac Zawiszy Czarnego. —
L. Brzeski: Ostatnia kartka pamiątki. —
A. Janta: Niepowiedziane, niedopowiedzia-
ne... — J. Bielatowicz: Cassino. — E. van
Haardt: Obraz artysty. — Z głosów angiel-
skich o Polsce. — H. S. Dominik: Opinie
angielskie. — Wśród książek. hsd.: Pro-
blemy pokoju. cep.: Zza kulis propagan-
dy niemieckiej. Proces przeszłości. — Z
prasy obcej. — ww.: Przegląd polityczny.

Sąsiaduje w niej z parnasowskim piękno-
duchostwem Miriama i jego „Chimery” epoka
„ludzi podziemnych”, czerwona rewolucja
1905 roku i stęże nad Cytadela w krwawą
gwiazdę zawołanie Okrzei: „Niech żyje Pol-
ska niepodległa!”

Tak samo kontrastowa jest Warszawa
Drugiej Rzeczypospolitej. Świątek Karpiński
podaje z niej rękę „Cyganom Warszawskim”
pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. W
innym poziomie, na naszych oczach. Ordon i
Sowiński, tacy jak ich zechciała mieć
wszechmoc poezji, z cudownych wierszy pol-
skich, salutują naszych współczesnych: gene-
rała Bora i generała Nurta.

Ściągała nowa stolica, ssała krew z całej
Polski przez dwudziestolecie i teraz po raz
drugi, po raz trzeci upuszcza ją z żył bez
miary i rachunku.

Po barbarzyńsku, z orgiastycznym okrzy-
kiem młodości malowała szesnastowieczne,
siedemnastowieczne kamienice Starego Miasta
i teraz oddała je na całopalenie, na całobicie.
Trochę snobistycznie wydobywała spod ziemi
stare mury, a zdawało się, że zagrała w niej
zbiorowa pamięć tragiczna, zamart instynkt
historii. A oto teraz mury wróciły pod zie-
mię i Warszawa żyje wielkim tchnieniem dzie-
jowym.

Uwielbiała dowcip i kabaret, prawie ka-
zała nam wierzyć, że to jest szczyt ludzkiej
twórczości i szczyt sztuki narodowej, ale
była jednocześnie kolebką teatru monumen-
talnego, teatru wielkiej poezji i wielkiej wizji
scenicznej, o której snił Mickiewicz na ka-
tedrze Collège de France. Wystarczyło War-
szawie walecznego humoru, aby przetrzymać
najbardziej ponurą z babilońskich niewoli. I
dziś sama jest sceną z teatru monumentalne-
go, dekoracją z „Legionu”, gdzie wśród ruin
spór o naród wiodą duchy poetów.

Tak samo jak hasło: Warszawa w kwia-
tach, tak samo zwyczajnie, prawie od niechce-
nia pojęła hasło: Warszawa we krwi — we
krwi i w ogniu. Zdawało się kiedyś, że żyje
rytmem zwolnionym, i może żyła po to, by
żyć teraz na barykadach tętnem przyspieszo-
nym, śmiertelnie natężonym.

Tak, żeby użyć słów Norwida:

„...to Warszawa,
pod rozpięciem gwiazdą
dziwnie jaskrawa...”

Zaboreza i bez granic ofiarna, drapieżna
i bez granic mężna. Lekkomysłna, lekkodu-
chowska i zdolna do najwyższej powagi.
Rozproszona, jakby niezdolna do kontempla-
cji i naraz dorosła do samotności, do prze-
ciągłego patrzenia w oczy śmierci. Usiłująca
zapomnieć przeszłość i oto porwana przez bez-
litosny wiatr historii.

Sprzeczności jej duszy rozwiązują się na
naszych oczach w akordzie najwyższej pełni
i do dna przejmującej prostoty, na które nie
jest łatwo znaleźć słowo. Trzeba by go może
szukać w antycznej tragedii, u żywotopisarzy
świętych.

Dlatego musimy kochać ciemną, zajądłą
miżością nie kraj dzieciństwa, nie miasta,
gdzie zostały groby naszych matek, ale to
miasto miast — sprzeczne, wspaniałe, tragicz-
ne jak człowiek, tragiczne, wzniosłe i niezła-
mane jak naród.

JÓZEF MACZEWSKI

BLISKI WSCHÓD I MOCARSTWA

I

O pierwszorzędnej roli Bliskiego i Środkowego Wschodu w stosunkach międzynarodowych Europy zadecydowały następujące czynniki:

- charakter Bliskiego Wschodu jako pomostu, łączącego Europę, Azję i Afrykę,
- upadek imperium Otomańskiego i skurczenie się roli Persji, przetwarzające Bliski Wschód w obszary, uzależnione w większym lub mniejszym stopniu od mocarstw europejskich,
- wzrost ekspansyjnych tendencji państw europejskich, spotykających się ze sobą jednocześnie na tym samym moście międzydludowym.

Czynnik ten spowodował, że od końca XVIII wieku kwestie wschodnie w zagranicznej polityce Europy dominują nad wewnątrz-europejskimi, zaś wszystkie czysto wewnętrzne spory w Europie rozstrzygane są z uwzględnieniem postulatów polityki blisko-wschodniej tych mocarstw.

Tak więc Francja, szukając współdziałania z Turcją, walczyła z Habsburgami. Austria w r. 1699 po pokoju karłowickim stawiała pierwszy krok na szlaku, prowadzącym na Bliski Wschód, jakim jest Dunaj, rozpoczynając o to walkę z Rosją.

Sojusz francusko-rosyjski nie dochodził dłużej do skutku wobec wspierania przez Francję Turcji i walk tej ostatniej z Rosją.

Współpraca angielsko-rosyjska z XVIII wieku rozbiła się o rywalizację na Wschodzie. Za kulisami wszystkich wojen turecko-rosyjskich, afgańsko-angielskich, afgańsko-perskich, turecko-egipskich i bałkańskich stały przeciwko sobie mocarstwa europejskie: Anglia, Rosja, Francja, Austria, Niemcy.

Wszystkie również wojny europejskie XIX wieku wiązały się mniej lub więcej ściśle z Bliskim Wschodem. Wojna francusko-rosyjska 1812 r. wynikała z zamiaru Napoleona pobicia Brytanii w Azji, czemu m. in. stanęła na przeszkodzie Rosja, utrudniająca blokadę wysp brytyjskich. W planach podbojowych Napoleona leżało dojście przez Egipt, a następnie Rosję, do Indii.

Wojna krymska była wojną wschodnią, podobnie jak wojna 1877 r. Wojna r. 1870 miała nieszczypliwy dla Francji przebieg m. in. dlatego, że Rosja powstrzymała Austrię przed okazaniem pomocy Napoleonowi III. Uczyniła to wskutek rywalizacji z Austrią o Dunaj. Sprawy rywalizacji rosyjsko-angielskiej w XIX w. lokowały się geograficznie na Bliskim Wschodzie i w Środkowej Azji, stanowiąc jeden z największych rozdziałów historii stosunków międzynarodowych Europy i Azji tego okresu.

Wojna 1914—1918 r. wypłynęła również m. in. z rywalizacji mocarstw na Bliskim Wschodzie. Wojnę tę zapowiedziała wizyta Wilhelma u Abdula-Hamida w 1889 r. oraz jego podróż po Wschodzie w r. 1898. Podróż ta łączyła się z ogłoszeniem Wilhelma przyjaciela świata muzułmańskiego oraz w wyniku dała protektorat niemiecki nad budową kolei anatolijskich. Jednocześnie Niemcy rozpoczęły reorganizację i rozbudowę armii tureckiej. Celem tych akcji Berlina było stworzenie warunków dla powstania Środkowo-Europejskiej Unii Celnej, sięgającej do Zatoki Perskiej i przeciwstawiającej się supremacji gospodarczej Anglii i USA. Rosja w tym samym czasie nie wyrzekała się opanowania Cieśnin, a Anglii zależało na zabezpieczeniu przedpola i dróg, prowadzących do Indii. Splot sprzeczności interesów, powstały w ten sposób, wpłynął decydująco na wybuch wojny r. 1914. Bałkany odegrały w tej wojnie rolę linii komunikacyjnej Niemiec, w którą godziła Rosja.

Powojenna zmiana w układzie mocarstw europejskich również wypłynęła przede wszystkim z Bliskiego Wschodu.

Spory angielsko-francuskie o Syrię i wilyet Mossulu, podtrzymywane przez Paryż, Kemala Paszy, a przez Londyn, Greków, również przyczyniły się do ochłodzenia stosunków francusko-angielskich i do polepszenia sytuacji Niemiec.

Obecna wojna światowa wiąże się z Bliskim Wschodem z następujących powodów:

- w bieżącej wojnie silnie zaznaczają się elementy wojny poprzedniej, wyrosłej głównie na podłożu spraw wschodnich,
- antykompinternowski pakt, wymierzony był w istocie przeciwko Wielkiej Brytanii na Bliskim Wschodzie i w Azji w ogóle, i dla celów konspiracji określony został mianem antysowieckiego. Z tego faktu poczęła sobie zdawać sprawę polityczna myśl angielska dopiero po podróży Ribbentropa do Moskwy. Podręczna encyklopedia angielska W. Thimera „An ABC of International Affairs”, wydana w grudniu 1939 r., pisała o tym pakcie: „In other countries the anti-comintern pact was regarded as an expression of political cooperation, if not alliance of signatory Powers against the democracies, in particular the British Empire, rather than against Communism”.

Tak więc planowania Niemiec i jej osiowych sojuszników sprzed r. 1939 szły w zasadzie w kierunku Suez, Cieśnin, Bliskiego Wschodu, Indii Holenderskich i Brytyjskich,

Birmy i t. d. Na drodze tych planów stanęły przeszkody w postaci Polski, Francji, Anglii, utrudniające przeniesienie walk na wschód i tym samym pełne ujawnienie się wschodnich źródeł tej wojny.

Druga faza wojny, zapoczątkowana atakiem Niemiec na Sowiety w czerwcu 1941 r., konsekwentnie wiąże się z Bliskim Wschodem, a snop światła na tę sprawę rzucają następujące fakty:

a) niepowodzenie nieznanych bliżej propozycji niemieckich pod adresem Rosji Sowieckiej podzielenia się Bliskim Wschodem kosztem Anglii i Francji oraz Turcji i innych krajów wschodnich.

b) rewolta w Iraku w wiosny 1941 r., zapowiadająca wkroczenie niemieckich wojsk na Bliski Wschód wraz z wszystkimi konsekwencjami otoczenia Rosji od południa, podobnie jak to miało miejsce w związku z ekspansją Niemiec wzdłuż kolei bagdadzkiej przed r. 1914.

Powstały w czasie rebelii w Bagdadzie rząd Rashida Gailani, wspierany przez niemieckie bazy lotnicze w Syrii i Mossulu, nawiązał wówczas stosunki dyplomatyczne z Moskwą. Zapoczątkowana w ten sposób rywalizacja niemiecko-sowiecka na obszarach, leżących na południe od Kaukazu, usunęła w cień przeszłości bejruckie planowania antysowieckie Weyganda, zastępując je przez bardziej realne niemieckie niebezpieczeństwo. Sytuacja sprzed 1914 r. powtórzyła się dość dokładnie.

Rozwinięcie dalszych elementów rywalizacji potęg na Bliskim Wschodzie wraz z uwzględnieniem matactw przebiegłych rządów krajów bliskowschodnich, znajdujących warunki dla utrzymania swych półniezależnych egzystencji w rywalizacji mocarstw, potwierdziły wiele twierdzeń o „bepośrednim związku spraw Wschodu z wydarzeniami w Europie.

II

Faktem jest, że cały wewnętrzny obszar Europy należy do systemu rzek, wpadających do morza Czarnego i basenu Kaspijskiego, czyli 2/3 Europy, część Niemiec, Polski Węgier i t. d. w naturalny sposób związane są z morzem Czarnym, stanowiącym wyjście na morze Kaspjskie i Wschód. W tym kierunku, wzdłuż Dunaju, poczęły swój ekspansywny pochód Niemcy.

W tym samym południowym kierunku, prowadzącym ku ciepłym morzom, kierowała się Rosja. Zamykana w swej ekspansji wschodniej przez Japonię i ludnościowy wzrost Chin oraz hamowana przez Niemcy od strony Zachodu, poczęła Rosja szukać ratunku w ekspansji południowej. Pełne wnioski z tego stanu rzeczy wyciągnęły Sowiety, rozbudowując swe północne prowincje oraz, z drugiej strony, Zakaukazie i Sowiecką Azję. Południe Rosji Sowieckiej, oparte o daleko posunięte zaplecze północne, miało stać się bazą wypadową Sowietaów na Bliski Wschód, Chiny i Indie. Rosja dążyła do zamienienia się z prostokąta poziomego na mapie Starego Świata w prostokąt pionowy. Zaś obszary

wschodnie stawały się głównym elementem zainteresowania sowieckiej polityki zagranicznej, wpływając na całokształt sowieckiej polityki narodowościowej, gospodarczej i kominternowskiej.

III

Wszystkie plany ekspansji Niemiec i Rosji na Bliski Wschód oraz Anglii, starającej się zabezpieczyć swój stan posiadania na północnym przedpolu Indii, jakim jest Bliski i Środkowy Wschód, napotykały na przeszkody w postaci problemu komunikacyjnego pokonania przestrzeni i pasm górskich. Stąd cała technika rywalizacji streszczała się w sprawach budowy szlaków, walk o koncesje kolejowe i uzyskiwanie wpływów wokół górskich przełęczy. Same zaś kraje Bliskiego Wschodu przez długi czas nie zatracały charakteru buforów i półpastynnych izolatorów, chroniących mocarstwa przed wzajemnym zderzeniem, które angażowałoby całość ich potencjałów wojennych.

Okres poprzedniej wojny stanowił dla Bliskiego i Środkowego Wschodu dobę przejściową w tym względzie do czasów nowożytnych, zapoczątkowanych przez wybuch obecnej wojny. Czynniki tej przemiany stały się:

- rozwój komunikacji i techniki środków komunikacyjnych oraz
 - niebywały rozwój znaczenia ropy*).
- Budowa kolei bagdadzkiej i transirańskiej, wykończonych w okresie ostatnich paru lat, oraz wykańczanie szeregu połączeń, jak Teheran—Tabryz—Meshed, Ahwaz—Khurram-Shahr i innych, stanowią ułamek, jaki dla rozwoju powiązań komunikacyjnych posiada rozbudowa lotnictwa i powszechne zastosowanie samochodu na Bliskim i Środkowym Wschodzie, połączone z masowym budowaniem dróg i mostów.

Powyższy stan rzeczy wpłynął na:

- daleko idący zanik charakteru izolatora, jaki Bliski i Środkowy Wschód posiadał w XIX w.,
- ściślejsze niż dawniej powiązanie ze sobą Bałkanów, Ukrainy, Kaukazu, Środko-

* Układ źródeł ropy w Starym Świecie przedstawia się, jak następuje:

Kaukaz	produkuje	około	26	milionów	ton	rocznie
Irak	„	„	11	„	„	„
Indie Holend.	„	„	8	„	„	„
Rumunia	„	„	6	„	„	„
Irak	„	„	4	„	„	„
Rosja poza Kaukazem	„	„	4	„	„	„

Nie wymienione źródła ropy Starego Świata posiadają znaczenie lokalne.

Reasumując — źródła ropy Bliskiego Wschodu i związanych z nim obszarów dają rocznie około 45 milionów ton, co stanowi 80% całej produkcji ropy Starego Świata. Dodać należy, że możliwości zwiększenia produkcji blisko-wschodniej ropy są teoretycznie nieograniczone, gdyż obok eksploatowanych źródeł pomiędzy Tygrysem a morzem Kaspjskim, w rejonie Dżezireh na północy Syrii i w północnym Iranie znajdują się wielkie nieeksploatowane pola naftowe. Bliski Wschód z przyległymi rejonami stanowi więc godnego partnera ropy amerykańskiej i jest jednym z kluczy do panowania nad Starym Światem.

KRONIKA POLSKA

— Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie wydało prof. Edwarda Dubanowicza podręcznik dla drugiej klasy liceum ogólnokształcącego „Nauka obywatelska”.

— Nakładem „Składnicy Księgarskiej” w Edynburgu ukazała się książka A. Eplera „The Last Soldier of the Battle of Poland”. „Składnica” zapowiada wydanie w najbliższym czasie następujących książek: J. Meissnera „Szkoly Orłąt”, B. Pomiana „Ku najjaśniejszej z gwiazd”, J. Pomiana „Z ziemi polskiej do szkockiej”, W. Siedzińskiego „Swastyka nad Warszawą” i W. Solskiego „Pociąg odchodzi o północy”.

— Nakładem „Nowej Polski” ukazało się w osobnym wydaniu książkowym studium Ksawerego Pruszyńskiego „Margrabia Wielopolski”, uprzednio drukowane w „Nowej Polsce”.

— „The American Academy of Political and Social Science” w Filadelfii wydała Henryka Strasburgera „The Core of a Continent, Problems of Central and Eastern Europe”.

— Nakładem wydawnictwa „The Antioch Press” ukazała się w Ohio (USA) książka zbiorowa pod redakcją Lewisa Corey „Democratic Postwar Reconstruction in Central and Eastern Europe”. Wśród dziewiętnastu jej współpracowników jest dwóch Polaków. Feliks Gros pisze na temat „Destruction and Rebirth”, a Karol Estreicher na temat „The Rebuilding of Education”.

— Jako osobna odbliska z kwietniowskiego zeszytu nowojorskiego „Quarterly Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America” ukazała się rozprawa Emiliy Allyn, profesora historii w Wilson College, p. t. „Polish-German Relations in Pomerania and East Prussia”.

— W kwietniowym zeszycie amerykańskiego miesięcznika „The Review of Politics” ukazała się rozprawa prof. Wacława Lednickiego „The Russo-Polish Dispute: The Historical, Cultural and Political Background”.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa Allen & Unwin ukazała się ogłoszona uprzednio w Stanach Zjednoczonych antologia polskiej myśli

wej Azji Sowieckiej, Bliskiego i Środkowego Wschodu, Indii i t. d., ściślejsze niż kiedykolwiek powiązanie ze sobą wzajemnych zasięgów mocarstw na Wschodzie.

Polsko-litewski okres naszej historii wiązał losy Polski z basenem morza Czarnego i Imperium Otomańskim. Wpływało to wybitnie i na istotę naszych stosunków z Moskwą, a polityka carów w niektórych okresach za ideał uważała sojusz z Turcją przeciwko Polsce.

Ścisłych stosunków z Persją jako antagonystką Turcji szukał Jan Sobieski, działając przez Ormian, którym obiecywał pomoc w odbudowie ich królestwa.

Sprawy Bliskiego Wschodu posiadały związek i z pierwszym rozbiorem Polski. Wojna turecko-rosyjska 1768-1774, zagrażając zdobyczem Wiednia nad Dunajem, spowodowała antyrosyjską demonstrację ze strony Austrii, grożącej sojuszem z Turcją. To zaś zrodziło stan, o którym najszerszy z historyków rosyjskich — Pokrowski — pisze: „Zmuszeni byliśmy dać Austrii i stojącym za jej plecami Prusom odpowiednie w postaci pierwszego rozbioru Polski”.

Druga wojna rosyjsko-turecka (1788-92), w czasie której Francja stanęła po stronie Turcji i pełniąca Szwecję przeciwko Rosji, stworzyła nową koniunkturę dla Polski. Kiedy indziej sprawa polska wystąpiła na widownię znowu w związku ze sprawą wschodnią. Pruski minister Gardenberg, ratując Prusy przed Francją, wystąpił z projektem podziału Turcji Europejskiej: zachód Bałkanu miał przypaść Francji, środek — Austrii, wschód ze Stambułem — Rosji, za co Petersburg miałby oddać Polskę dynastii saskiej.

Przez cały niemal wiek XIX sprawa polska znajdowała w Turcji więcej zrozumienia niżeli we Francji. Kilkunastu Polaków, barższych i generałów tureckich, wpływało wówczas na bieg spraw tureckich jak nigdy przedtem ani potem.

Przez cały również wiek XIX rywalizacja austro-rosyjska na tle ekspansji obu potęg w kierunku południa ułatwiała zbliżenie rosyjsko-pruskie i prowadzenie imperialnej polityki. Wybuchające na tle sprawy wschodniej wojny XIX wieku aktualizowały stale sprawy polskie.

Na kompleksie sprawy wschodniej opierała się polityka Hotelu Lambert oraz nadzieje nasze na Anglię w okresie powstań.

Na antagonizmie rosyjsko-francuskim, jeśli idzie o politykę wobec Turcji, oparta była w dużym stopniu pozycja nasza we Francji. Proroczy memoriał Zygmunta Krasińskiego, złożony na ręce Napoleona III w r. 1854, opierał się politycznie na planach Rosji w Cieśninach.

Nie sposób również w oderwaniu od antagonizmu angielsko-francusko-rosyjskiego potraktować i wojny 1920 r. pomiędzy Polską a Sowiecami. Zle zsynchronizowana z wcześniejszymi nieco wypadkami rosyjsko-angielskimi w Azji, wojna ta niewątpliwie wiązała się z kompleksem sprawy wschodniej.

Z Bliskim i Środkowym Wschodem wiązała się również polityka nasza po r. 1926. Ten jej wschodni i międzynarodowy charakter spowodował, że polityka ta w edycji francusko-polskiej odżyła w okresie Angers w związku z ówczesnymi obawami o współpracę niemiecko-sowiecką.

Rola Polski poza swym charakterem elementu antyniemieckiej polityki mocarstw na długiej fali opiera się również na naszym potencjalnym charakterze czynnika wschodniej polityki tych mocarstw.

Możnaby wysnuć następujące twierdzenia, dotyczące powiązania problemów Bliskiego i Środkowego Wschodu ze sprawami Polski:

a) ekspansja Niemiec na Wschód oraz zagrożenie przez Oś azjatyckich posiadłości Anglii spowodowały w dużej mierze, że Polska należy do bloku alianckiego, oraz w poważnym stopniu zadecydowały o samym fakcie powstania tego bloku. Bez powikłań i wzajemnego powiązania ze sobą interesów mocarstw na Bliskim Wschodzie polsko-niemiecka wojna 1939 r. mogłaby mieć charakter lokalny, pozostawiający Polskę jej własnemu losowi.

b) jednocześnie jednak Bliski i Środkowy Wschód stanowi (obok Australazji) główny teren sprzecznych interesów i rywalizacji pomiędzy aliantami, co z kolei:

- wpływa, być może, na przebieg i charakter bieżącej wojny,
- wywołuje może przegrupowania w walczących obozach już na konferencji pokojowej,
- zadecydować może o naporze lub jego zaniku ze strony Rosji na wschodnią granicę Polski,
- wpływać może na istotę przyszłych stosunków niemiecko-rosyjskich.

Reasumując — Bliski i Środkowy Wschód, będąc źródłem wielu, bodaj najważniejszych, elementów, decydujących o postawie Londynu (mniej Waszyngtonu) w stosunku do Europy, z punktu widzenia polskiej racji stanu stanowi jeden z najciekawszych i najważniejszych obszarów świata.

STANISŁAW FISCHLOWITZ

Wrażenia spod „Krzyża Południa“

I

Nie zamierzam odkrywać tu Brazylii. Zrobił to już Cabral około 444 lat temu i nie ma powodu, by czynić to po raz drugi. (Brazylijczycy sami za pomocą wielkich ekspedycji lotniczych, organizowanych przez romantycznego rewolucjonistę, a dziś „koordynatora ekonomicznego“, Joao Alberto, odkrywają wciąż nadal olbrzymie, niezbadane dotąd, połacie kraju, — ale to już, mówiąc słowami Kiplinga, „inna sprawa“). Wydaje mi się natomiast, że nie od rzeczy będzie próba uprzystępnienia polskiemu czytelnikowi niektórych elementów Brazylii dzisiejszej, nowej, bardzo nam bliskiej, choć terytorialnie tak bardzo odległej.

Zaraz na pierwszy rzut oka spostrzegamy w Brazylii naprawdę zadziwiające podobieństwo wielu warunków zewnętrznych i ogólnego „klimatu“ tego ciekawego kraju-kontynentu do Polski, pomimo tak krancowych różnic pomiędzy ich klimatami. Głównym współczynnikiem wspólnego mianownika Polski i Brazylii jest chyba głęboki jej humanizm w duchu kultury łacińskiej, katolicyzm i liberalizm. Brazylia jest nadal bardzo europejska, choć orientuje coraz samodzielniej twórczość własnej kultury oryginalnej. Panamerykanizm jest tu w gruncie rzeczy pojęciem nawskroś politycznym. Północno-amerykański „sposób życia“ mało przemawia do przekonania Brazylijczykom. Pod względem ludnościowym (44 miliony mieszkańców) Brazylia jest, jak Polska, państwem średnim; ludność jej, bardzo nierównomiernie, zamieszkuje przestrzeń 8 i pół miliona km. kwadratów.

Z podobieństwa rozmiarów obu tych państw, a więc i podobnej pozycji w świecie, wynikną zapewne jedyny w dziejach przypadek, kiedy pośrednio skrzyżowały się ze sobą ich aspiracje polityczne: oba państwa pretendowały 19 lat temu do miejsca, pozostałego w Lidze Narodów. Wybrano wtedy Polskę, a Brazylia opuściła Ligę Narodów, na co tym łatwiej mogła się zdecydować, że przecież nigdy jej nic z zewnątrz nie groziło.

Powróćmy jednak od tej dygresji, przypominającej dawno już przebrzmiałe, przedhistoryczne niemal czasy, ku opisowi dalszych stycznych pomiędzy dwoma krajami. Gospodarczo Brazylia znajduje się w okresie rozwoju, podobnym do sytuacji Polski pomiędzy dwiema wojnami. Z państwa rolniczego staje się mieszanym, rolniczo-przemysłowym; porzuca przymet zdecydowanie dotychczasową, niebezpieczną w świetle zmiennych koniunktur, monokulturę: następujące po sobie kolejno okresy cukru, kawy, trzciny cukrowej, bawełny, złota i t. p., na rzecz produkcji bardziej zróżnicowanej i harmonijnej. Tu i tam klasa średnia znajduje się in statu nascendi.

W obu krajach nie brak pogłębionych kontrastów społecznych, które nakazają podjąć czynną politykę społeczną; wśród jej osiągnięć brazylijskich wypada zanotować najszerzy z istniejących na świecie system zarobków minimalnych, oryginalną stabilizację stosunków pracy pracownika najemnego (którą znaliśmy u siebie tylko jako przywilej urzędnicy) i dobrze na ogół funkcjonujące ubezpieczenia społeczne.

W Brazylii napięcia społeczne spotęgowane są jeszcze towarzyszącymi im różnicami rasowymi. Góra jest biała, dół przeważnie ciemny, średnie szczeble na drabinie społecznej zajmuje element rasowo mieszany (któż zdoła wyczerpać wszelkie kombinacje krzyżowania ras, których zdumiewające niekiedy wyniki cieszą oko antropologa). Powojenna liberalna polityka imigracyjna Brazylii ma kierować się wyłącznie gospodarczą racją stanu; ale przyjmując jedynie białych imigrantów, Labour and Social Welfare ma zmierzać pośrednio do dolania mleka do obecnej „białej kawy“. W każdym razie jako najskrajniejsze zaprzeczenie rasistowskiej doktryny narodowo-socjalistycznej Brazylia „cieszyła się“ szczególną antypatią hitleryzmu. Przypatrzeć, że dopiero z tamtej strony Atlantyku zrozumiałem niepoczytalny wybryk szefa frontu pracy, min. Ley'a, który dziewicze swe wystąpienie na terenie międzynarodowym (równocześnie pierwszy występ nazistowskiego męża stanu w Genewie w ogólności) rozpoczął od ataku na „półdzikie, metysowskie krainki Ameryki Łacińskiej z Brazylią na czele“, które ośmielają się upierać przy tych sa-

mych prawach głosu co aryjska Trzecia Rzesza. Zawsze zapijaczony i rzadko przytomny wódz 20 milionów robotników niemieckich nie umiał mi osobiście wyjaśnić na konferencji genewskiej, dlaczego tak bardzo denerwuje go Brazylia...

Wracamy do porównania Brazylii z Polską. Zagadnienie Brazylijskiego Zachodu (interior) to podniesiona do wyższej potęgi sprawa naszego Wschodu (Kresów Wschodnich). Ustrojowo i politycznie Brazylia obecna („Estado Novo“) dzieło czterastoletnich rządów prezydenta Getulio Vargasa, przypomina wprost do „złudzenia reżim marszałka Piłsudskiego, zwłaszcza w pierwszym jego, liberalniejszym okresie. Obowiązująca konstytucja wzorowana jest, jak to podkreśla wyraźnie jej autor, Francisco Campos (ówczesny minister sprawiedliwości, obecnie prezes Międzyamerykańskiej Komisji Prawniczej), na polskiej konstytucji z r. 1935. Przestrzegam jednak przed nazbyt pośpiesznym wyciągnięciem stąd wniosków co do przyszłości brazylijskiego systemu rządów. Należy w ogóle wystrzegać się w stosunku do politycznej rzeczywistości Ameryki Łacińskiej łatwych uogólnień. Może nie brak tu „radosnej twórczości“ i „wielkomocarstwowości“ i roli czynników umundurowanych. Mam jednak to głębokie wrażenie, że obecne rządy autorytatywne, które zresztą mogą się wykazać poważnym dorobkiem gospodarczym i administracyjnym uporządkowania kraju (znowu chyba raczej różnica niż podobieństwo), znajdują własny sposób nawrócenia, choćby nie w formie szablonej, do demokracji. Wtedy gdy niektóre inne kraje Ameryki Łacińskiej, dotąd rzekomo najwierniejsze demokracji, przeszły ostatnio do obozu przeciwnego, wydaje się, że linia rozwojowa Brazylii wiedzie systematycznie w przeciwnym kierunku. Należy w to wierzyć, że zmiana ta dokona się w duchu dewizy Brazylii. Jest nią „Porządek i postęp“.

Brazylia jest nacjonalistyczna, ale nie jest to nacjonalizm typu zaczepnego ani na wewnątrz, ani na zewnątrz. Zostały w naszej świadomości pewne osady przeżyte przedwojennych na tamtejszym terenie naszego wychodźstwa na tle ówczesnego unarodowienia szkolnictwa. Jeżeli z dzisiejszej perspektywy patrzymy na te bolączki, to musimy przede wszystkim zauważyć, że te zarządzenia brazylijskiej polityki szkolnej i oświatowej wymierzone były swym ostrzem przeciwko forpocztom agresji osiowej, zagrażającym spoistości kraju, a tylko rykoszetem odbiły się, niestety, i na naszym stanie posiadania. Oczyszczenie po wojnie ruchów migracyjno-prędzielińskich z naleciałości politycznych odświeży tu naprawdę ogólną atmosferę, usuwając potrzebę stosowania środków obronnych przeciw mniejszościowemu zapędom Niemców, Włochów i Japończyków; pośrednio korzystają z tego i inni obcy, zażywający gościnny tego kraju. Podobnie jak w Polsce, nie ma i tu ksenofobii. Natomiast często spotykamy tu skuteczne i skąd inąd sympatyczne dla nas próby oparcia się wyrzyskowi cudzoziemskich rekinów kapitalistycznych. Wspomnę tylko jeden przykład, który zainteresował mnie osobiście w szczególnym stopniu. Wiadomo, że rynek asekuracyjny przedstawia szczególnie podatne pole dla gospodarki rabunkowej, sprawowanej przez zagranicę. Jako instrument tego wyrzysku służy tu zwłaszcza reasekuracja, drenująca kapitały narodowe na rzecz anonimowych potęg zagranicznych. Nie inaczej było w Brazylii. Aż pewnego dnia położono temu kres jednym pociągnięciem pióra — upaństwowiając po prostu reasekurację, a więc pośrednio poddając gospodarce publicznej całą asekurację prywatną. Oczywiście znawcy tajemnej wiedzy asekuracyjnej przepowiadali lekkomyślnym reformatorom straszliwą zgubę, ale jako nowostworzona reasekuracja państwowa funkcjonuje nienagannie; wzory tej oryginalnej gospodarki publicznej mogłyby być naśladowane z powodzeniem przez inne kraje, zagrożone cudzoziemskim wyrzyskiem.

Brazylia jest krajem rzadko spotykanych sprzeczności nie tylko wertykalnych (pomiedzy poziomem życia poszczególnych klas), ale i horyzontalnych (pomiedzy stopą cywilizacyjną poszczególnych części kraju). Sąsiadują tu z sobą wieki XVIII i XIX, a nawet najostatniejsze zdobycze XX wieku. W Polsce podobna sytuacja była wynikiem rozwoju historycznego, dziedzictwem przynależności do trzech państw zaborczych. W Brazylii ten stan rzeczy wiąże się z olbrzymimi, nieopanowanymi jeszcze przestrzeniami. Nie zdołały ich jeszcze ze sobą zespolić funkcjonujące obecnie środki masowej komunikacji. Rozmiary kraju są wprost niezmierne: jedną małą wyspka rzeczna na Amazonce równa się swą przestrzenią — Portugalii. Życie Brazylijczyków wypełnia ciężka, chwilami — zdawałoby się — beznadziejna walka z siłami natury, ale nade wszystko z odległościami, nieskróconymi jeszcze w sposób dostateczny przez kolej, auto czy statek. W braku sprawnej wymiany towarów ceny określonego produktu wahają się w różnych częściach kraju w stosunku niekiedy od 1 do 10. Łatwo wyobrazić sobie, jak zawile zadanie nasuwa

w tych warunkach administrowanie krajem. Pomimo ustroju tradycyjnie federacyjnego (oficjalna nazwa państwa: Stany Zjednoczone Brazylii) nadano jej ostatnio w praktyce formy zdecydowanie unitarne. Równocześnie przystąpiono do reformy administracji: rzadko gdzie na świecie podjęto ją tak gruntownie, jak w Brazylii. Wstępem do niej było konsekwentne zastosowanie zasady, że nikt nie może być mianowany urzędnikiem publicznym bez przejścia przez alembik trudnych egzaminów i konkursów.

Poza odległościami nie brak i innych jeszcze czynników, które hamują tempo rozwoju tego „kraju przyszłości“. Stopa analfabetyzmu jest jeszcze wciąż duża, a częste reformy szkolnictwa nie dają na ogół oczekiwanych wyników. Dają się też dotkliwie we znaki trudne warunki higieniczne (choroby tropikalne, subtropikalne oraz społeczne), co prawda polepszane systematycznie pracą znakomitych higienistów, z p. Oswaldem Cruz na czele. Wciąż jednak statystyka wykazuje bardzo dużą śmiertelność dzieci przy dużej, niemal rekordowej, stopie urodzin, i bardzo niską przeciętną granicę życia ludzkiego. Brak „ubezpieczenia zdrowia“ daje się bardzo dotkliwie we znaki. Sprawa należytego rozmieszczenia ludności w drodze kolonizacji wewnętrznej jest jeszcze ciągle programem, dalekim od realizacji.

Ale właśnie na tle tych trudnych warunków tym większej wartości nabierają osiągnięcia Brazylii w ostatnim ćwierćwieczu. Architektonicznie oryginalne w stylu swoistego futuryzmu drapacze chmur Rio de Janeiro, kominy tekstylnych fabryk Sao Paulo (największe centrum przemysłu Ameryki Łacińskiej), sylwetki hut ogromnego przemysłu metalurgicznego Volta Redondy — oto symbole nowej, gospodarczo twórczej Brazylii, jakżeż już dalekiej od niedawnego gospodarstwa kolonialnego tego kraju.

II

Opieram się pokusie naszkicowania zbieżności między charakterem narodowym Polski i Brazylii, z jego pokrewnymi zaletami — i wadami. Z obawy, by nie wpaść w banały, wstrzymuję się też od opisanie wszystkich dowodów przyjaźni, a w decydujących chwilach aktywnej serdeczności, okazywanej przez społeczeństwo brazylijskie Polsce i Polakom. Niech mi tylko będzie wolno podkreślić mocną pozycję, zdobytą w Brazylii przez nasze wychodźstwo wojenne, przyjęte gościnnie i oceniane na ogół z uznaniem. Polacy wybili się ostatnio na tamtejszym terenie w tak różnych dziedzinach, jak teatr i sztuki plastyczne, nauka i przemysł (tekstylny, elektrotechniczny, obróbka kamieni szlachetnych i półszlachetnych, i t. p.), nawet administracja publiczna. W dzisiejszych warunkach, kiedy najniespodziewaniej sprawa niepodległości Polski stanęła ponownie na porządku dziennym polityki światowej, byłoby jednak błędem oceniać stosunki między nami a innymi narodami w zależności od wzajemnych sympatii czy antypatii, podobieństw czy różnic. O tym, czy i w jakim stopniu, w obliczu bliskich decyzji o charakterze zasadniczym możemy liczyć na inne państwa, muszą decydować realne interesy tych państw i ich poglądy na przyszłość świata po wojnie.

Toteż nie od rzeczy będzie poszukać odpowiedzi na pytanie, jak przedstawia się miejsce Brazylii w polityce światowej. Polityka zagraniczna Brazylii jest nade wszystko stale i niezmiennie polityką integralnie pokojową. Granice swe Brazylia wytyczyła rozjemstwem i nigdy nie prowadziła wojny napastniczej. W obu wojnach światowych Brazylia bierze udział, obecnie nawet nieporównanie czynniejszy niż w pierwszej wojnie światowej (olbrzymi wkład surowcowo-gospodarczy, korpus ekspedycyjny we Włoszech, bazy morsko-lotnicze), ponieważ była ofiarą agresji osiowej, czując się słusznie zagrożoną bezpośrednio ewentualnym sukcesem „Nowego Ładu“, głoszonego przez Berlin i Tokio.

Brazylia stworzyła, co więcej, własną doktrynę stosunków międzynarodowych, którą głosili, a nawet praktycznie realizowali, jej mężowie stanu, jak baron Rio Branco, Joa-

quim Nabuco i Ruy Barbosa. Przy najczynniejszym udziale Brazylii powstały wszystkie organy współpracy panamerykańskiej; stanowią one niewątpliwie pierwszą próbę zorganizowania międzynarodowej organizacji regionalnej, jaką znają polityczne dzieje świata. Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie w Rio znalazła swą siedzibę Międzyamerykańska Komisja Prawnicza, powołana przez konferencję ministrów spraw zagranicznych Ameryki ze stycznia 1942 r. dla ustalenia programu organizacji powojennej świata — obok wielu innych zadań dużej wagi, które jej równocześnie zlecono. Ramowy program organizacji współzycia międzynarodowego, opracowany przez tę komisję pod przewodnictwem sędziego Affranio Mello Franco, jest jak gdyby polskim programem pokojowym, przetłumaczonym na języki hiszpański i portugalski. Jednym z głównych jego fundamentów jest szczególnie droga dyplomacji brazylijskiej zasada pełnej równości wszystkich państw, wielkich, średnich czy małych, tak dziś niemożna w pewnych środowiskach.

Brazylia mogłaby się zaliczać śmiało do rzędu wielkich mocarstw w Ameryce, z równym co najmniej prawem jak Francja w Europie. Zdobyła też sobie ponad wszelką wątpliwość stanowisko kierownicze w Ameryce Łacińskiej, które poprzednio było przedmiotem rywalizacji pomiędzy Rio de Janeiro a Buenos Aires. A przecież nawet względ na własny potencjał polityczny i gospodarczy, który mógłby pozwolić Brazylii zasiąść przy stole wielkomocarstwowym, nie skłonił jej do jakichkolwiek odstępstw od konsekwentnie i stale broniącej zasady demokratycznej organizacji współpracy międzynarodowej. Przeciwnie, ona niezmiennie wszelkim przewagom wielkich mocarstw, choćby miały płynąć ze strony państw najbardziej jej skąd inąd przyjaznych. Jakkolwiek związana najściślej ze Stanami Zjednoczonymi więzami wspólnych interesów i ideałów, Brazylia nie waha się zająć stanowiska samodzielnego w sprawie polityki Zachodniego Kontynentu, gdy wydaje jej się, że w grę wchodzi, choćby pośrednio i ubocznie, sprawy suwerenności jakiegokolwiek państwa amerykańskiego; świadczą o tym zmiany, których świadkami byliśmy w sierpniu 1944 r. Nie chce ona podziału świata na sfery wpływów, ani inne eufemistyczne zawoalowania nacisków wielkomocarstwowych.

III

Cała rzecz w tym jednak teraz, czy Brazylia zadowolili się wyciśnięciem tego wolnościowego stempla swojej polityki zagranicznej na organizację międzyamerykańskiej, czy też wzmoczone swe wpływy rzuci na szalę szerszych i ogólniejszych rozstrzygnięć. Już wysłanie korpusu ekspedycyjnego do Europy, pierwszy fakt tego rodzaju w historii Ameryki Łacińskiej, świadczyć może o szerszych jej ambicjach, sięgających poza Nowy Świat. Na pewno Itamarati (brazylijski MSZ) zdaje sobie sprawę ze współzależności stosunków politycznych świata; niepodległość pełna i nieskrępowana państw amerykańskich nie jest do pomyślenia bez takiej samej niepodległości państw europejskich. Wizja świata, podzielonego murami chińskimi na części, rządzące się odmiennymi zasadami współzycia międzynarodowego, nie trafia chyba do przekonania na południe od Rio Grande a już zwłaszcza nad Amazonką. W tym też kierunku orientuje się Brazylia. Jeden z największych na świecie producentów bawełny, kawy, kakao, kukurydzy, owoców, roślin oleistych, rud, kamieni szlachetnych i półszlachetnych, nie może przestać się interesować losami największego ich spożywcy — Europy kontynentalnej. Włączenie do sfery gospodarczo-samostarczalnej i mało interesującej się produktami tropikalnymi państw Europy środkowej i wschodniej wydawałoby się godzić w interesy Ameryki środkowej i południowej. Toteż należy w to wierzyć, że można liczyć na Brazylię i państwa z nią związane w walce o Europę wolną, złożoną z państw naprawdę niepodległych, zorganizowaną regionalnie i federacyjnie na wzór amerykański.

Nowość!

Nowość!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“

ukazała się

BOLESŁAWA PRUSA

LALKA

Tomy I i II

(tomy III i IV w druku)

Cena każdego tomu 150 milsów.

Nowość!

Nowość!

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II.

Stron 330

Cena 350 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE“, Jerozolima

JÓZEF NOWAK

ALBANIA

Kiedy parę tygodni temu doniesiono o masowym desancie powietrznym Sprzymierzonych w Albanii, nie zwróciło to większej uwagi opinii publicznej, zaabsorbowanej rosnącym napięciem na zachodniej granicy Niemiec i tragedią Warszawy. A przecież w chwili, gdy prace od morza Czarnego wojska rosyjskie ziszczają plany Skobielewych, stającą twarzą stopą w Sofii i Belgradzie, jednocześnie uderzenie od zachodu sił angielskich na Albanie i rozwijające się natarcie na Grecję mają swą wymowę polityczną. Wynik militarny tych operacji jest zgóry przesądzony. Ważniejsza, że kształtują one układ stosunków politycznych nie tylko na Bałkanach, ale i we wschodnim basenie morza Śródziemnego.

Szczególnie interesujące będą tu losy Albanii, która ze względu na swe położenie geograficzne stanowi klucz Adriatyku i bramę wypadową na Grecję. Już pierwsze dni przyniosły wieści o natarciu na Tirane i załamaniu się nie tylko marionetkowego rządu albańskiego, ale i władztwa niemieckiego w Albanii. Tempo to nie jest bynajmniej niespodzianką — umożliwił je silny ruch partyzancki, od lat pięciu dezorganizujący siły zaborców. Już z końcem wiosny roku bieżącego, gdy Sprzymierzeni w szybkim marszu na północ odbierali Niemcom kontrolę nad zachodnimi wybrzeżami Adriatyku, powstańcy albańscy przeszli do większych operacji, które, izolując Albanie od zaplecza bałkańskiego, osłabiały morskie i lotnicze bazy niemieckie, blokując Otranto i flankując ewentualne cele desantów Sprzymierzonych na wybrzeżu dalmatyjskim.

Właśnie bodaj ruch powstaniowy postawił na porządku dziennym sprawę Albanii, tego od r. 1878 newralgicznego punktu Bałkanów, który z Salonikami i Macedonią dzieli smutną szawę „bramy wojen europejskich”. Dziwnie wygląda agenda dziejowa Albanii. Illiryski podkład etniczny, zalany falą najazdu słowiańskiego, dał lud, a właściwie grupę plemienną, odrębną od innych ludów Europy, obcą i wrogą słowiańsko-greckiemu środowisku bałkańskiemu. Główny szaniec zaprowy na drodze Turków ku Włochom, Albania, pod wodzą legendarnego Jerzego Kastrioty (Skanderbega) przejmując po klęsce warneńskiej rolę bastionu chrześcijaństwa po to tylko, by, zislamizowana, stać się główną bazą władzy tureckiej na Bałkanach. Albania daje Imperium Otomańskiemu najdzielniejszych żołnierzy, największych wodzów i mężów stanu, ale zarazem i najgroźniejszych buntowników. Wszystkich sławnych wezyrów albańskich w XVII, którzy potęgę turecką aż pod mury Wiednia zaprowadzili, równoważy w w. XIX taki Mehmed Ali, który na zawsze wydrze Egipt kalifom i dając początek dynastii, dziś panującej, przerwie nici, łączące Stambuł z krajami Afryki Północnej. Albania była głównym rezerwuarem sił zbrojnych Turcji, rękoma Albańczyków dusili Turcy ruchy wyzwolenie na Bałkanach — i zarazem kraj ten sam był groźbą dla jedności Imperium, bazą ruchów separatystycznych. Ten paradoks albański stanie się poważnym problemem europejskim z chwilą załamania się potęgi tureckiej na Bałkanach. Niewielki kraj (ok. 27600 km. kwadr. z przeszło 1 milionem ludności) właśnie dzięki swej słabości stał się niebezpieczny dla pokój Europy jako łakomy kasek zarówno dla Austro-Węgier i Włoch, jak dla starej Serbii, która w w. XIX przy pomocy Rosji przebiła sobie wyjście na morze, jak wreszcie dla Grecji, która usiłowała zagarnąć Albanie południową, by osłonić Korfu i Epir przed zagrożeniem z północy i zachodu. Odkrycie nafty — jedynej ropy w basenie morza Adriatyckiego — wzmogło nacisk na Albanie ze strony Włoch, beznadziejnie dotychczas poszukujących tego życiodajnego płynu imperializmu. Gre utrwalił obcym agenturom prymitywny ustroj plemienny-rodowy Albanii, oparty o trwający po dziś feudalizm rolny, z masą chłopstwa pańszczyźnianego. Ustrój ten sprzyjał partykularyzmowi i separatyzmowi, uniemożliwiając państwową konsolidację Albanii. Z drugiej strony, wobec nie-dojrzałości i słabości kultury narodowej konsolidację narodową utrudniały i utrudniają antagonizmy etniczne między plemionami, wyrażające się nie tylko w różnicach dialektycznych, ale i religijnych. Austria, później Włochy, grały na katolickim odłamie Ghegów północnych. Turcja, później i Włosi w okresie islamomanii Mussoliniego — na mużmanach Albanii środkowej, judząc ich przeciw Serbii mirażem Kossowej Planiny, gdzie paręset tysięcy Albańczyków pozostawało poza granicami zwartego obszaru etnicznego. Grecy wreszcie urabiali sobie prawosławnych Tosków w tej części kraju, która dziś zwie się Albanią południową, a którą Grecy uparczywie zowią swym Epirosem Północnym.

W rezultacie historia Albanii to historia nieustannych zaborów i wojen, spisków i rewolucji. Pokój Berliński r. 1878, oddający Albanie Północną Czarnogórcom, rozbudził ruch narodowy albański, który — początkowo popierany przez Turków przeciw Serbom — przerósł w rewolucyjny ruch wyzwoleniecy. Wspólnota religijna podyktowała mużmańskim Albańczykom nawrót do współpracy z

Turkami w okresie rewolucji nowotureckiej w r. 1908, ale i ich zagarnięcie wyzwoleniecy porw ludów bałkańskich. Albańczycy proklamowali swą niepodległość w r. 1912, zyskali jej uznanie przez mocarstwa, ale nie zdolali opanować antagonizmów plemiennych. W chwili wybuchu wojny europejskiej kraj rozdziera sześć zwalczających się rządów, zmierzających wkrótce przez przewalające się fronty, przez okupację włoskie, serbskie, czarnogórskie, austriackie wreszcie. Ziemie Albanii stają się przedmiotem targów dyplomatycznych i układów rozbiorowych między mocarstwami koalicji i państwami ościennymi. Konferencja pokojowa przyznaje mandat na Albanie Włochom, którzy już w r. 1917 usiłowali zagarnąć nad nią protektorat. Ale w odpowiedzi na uchwały mocarstw działacze narodowi proklamują w 1918 r. niepodległość i całość Albanii, którą realizują partyzanci w dwuletnich zaciętych walkach z okupantami włoskimi i podsycanymi przez Serbów ruchami separatystycznymi. Zwycięstwo jedności narodowej i uznanie tego faktu przez konferencję ambasadorów w r. 1921 otwarło nowy okres w dziejach Albanii. Odtąd nie tyle rozbiór, ile wpływ na całość Albanii staje się celem rywalizacji Włoch i Jugosławii w walce o wschodnie wybrzeże Adriatyku.

Już pierwsze rundy tej walki wykazały przewagę Włoch. Nie zdołał opanować sytuacji popierany przez Serbów Ahmed Zogu, załamania się próba ujęcia władzy przez feudalne ziemianstwo, zjednoczone pod wodzą bogatego Eliasza Wrioni. Włosi, byle tylko eliminować wpływ serbskie, decydują się na poparcie czynników demokratycznych. W 1924 r. rządy przechodzą w ręce prawosławnego arcybiskupa Fan Noli, który, ciesząc się poparciem szerokich mas, oparł się w polityce zagranicznej o Anglię i wszedł na drogę budowy państwa nowoczesnego. Dzieła jednak nie zdążył dokonać i obalony przez Ahmeda Zogu, emigrował do Stanów Zjednoczonych. Ahmed Zogu odrazu wziął kurs na absolutyzm, wzmacniając biurokrację i armię, dzieło rozbudowy autorytetu państwowego uwieńczył swą koronacją w r. 1928. Dokonana przezeń konsolidacja — mimo wyraźnej autokratycznej, despotycznej rządów — pozyskała mu część inteligencji, zwłaszcza troskliwie hodowanej młodej kadry urzędniczej. Pozyskał sobie Zogu i część chłopstwa nieśmiało reformą rolną (1930) i część ziemianstwa rozbudową kredytu rolnego (1937) i kler prawosławny ustanowieniem cerkwi autokefalicznej, katolików wreszcie swą polityką rozdziału kościoła i państwa. W polityce Zogu zaznacza się silny wpływ rewolucyjnych wzorów Kemala paszy. Z jedną wszakże, decydującą różnicą: dla Kemala paszy metody te były w pierwszej mierze środkiem do zapewnienia swemu krajowi istotnej niepodległości i niezależności — Zogu, mógł osiągnąć te sukcesy wewnętrzne jedynie za gorzką cenę „pomocy” z zewnątrz.

Ani Jugosławia, z trudnością odbudowująca się po wojnie a targana antagonizmami narodowościowymi, ani też uboga Grecja, nie były w stanie zapewnić Zogu oparcia materialnego i politycznego. Dlatego też w r. 1926 dokonywa on wolty politycznej, wiąże się z Włochami Mussoliniego i, czyniąc Albanie odskocznią imperializmu faszystowskiego na Bałkanach, zyskuje podstawy dla swego reżimu i ubezpieczenie granicy południowej wobec żądań greckich. Sojusz z 1917 r. w gruncie rzeczy przekształca Albanie w protektorat włoski. Gen. Pariani, szef włoskiej misji wojskowej w Tiranie, ujmuje w swe ręce armię albańską i jednocześnie, zręcznie wyzyskując elementy opozycyjne, organizuje na wszelki wypadek piątą kolumnę, której użyteczność wykaże 7 kwietnia 1939 r. Finanse kraju opanowuje SVEA (Towarzystwo dla Gospodarczego Rozwoju Albanii), które w zamian za pożyczki na pokrycie wiecznych deficytowych budżetów zagarnia cła i monopole. AIPA (Azienda Italiana Petroli Albania) zagarnia źródła nafty w zagłębiu Kuczoza. SVEA przez swe filie eksploatuje saliny Valońskie, kopalnie bitumenu w Selenizju, między w okęgę Puka i t. d. Włochy dają 40% importu, zabierają 60% eksportu albańskiego. Kolonialny charakter Albanii podkreśla masowe włoskie osadnictwo rolne i robotnicze, planowane jako podstawa dla przyszłej aneksji kraju.

Nie bez sprzeciwu zresztą ze strony samego narodu. Już w r. 1926 plemiona północne zareagowały na zwrot polityki Zogu buntom, który omaal nie obalił reżimu. Bunt ten, poparty przez Serbów, wzmocnił tylko prowokacji kurs dyktatora Albanii.

Jedynie w okresie 1932-1934 Zogu odchylił się od tej polityki pod naporem prądów niepodległościowych i ruchu federacyjnego na Bałkanach, który znalazł wyraz w pakcie Bałkańskim z 1934 r. Zogu nie odważył się zabronić albańskim kołom niepodległościowemu czynnego, choć nieoficjalnego udziału w ruchu, a kiedy wykryty latem r. 1932 szeroko rozgałęziony spisek rewolucyjny odsłonił całą siłę prądów rewolucyjnych kraju — zdecydował się na śmiały zwrot — zerwał traktaty z r. 1926 i 1927, zamknął szkoły i pisma włoskie, wyzwołał armię z rąk instruktorów włoskich, a zawarciem układu gospodarczego

z Jugosławią, włączył Albanie do koncertu bałkańskiego. Więcej — kiedy w 1934 r. w porcie Durazzo zarzuciła kotwicę eskadra włoska, wioząca Albanii ultimatum Mussoliniego, Zogu, nie tyle w oparciu o solidarny protest Anglii i Francji, ile w obawie przed własnym ludem, odpowiedział mobilizacją. Włosi niespodziewanie cofnęli się przed wolą małego państwa. Ale kryzys austriacki i chwilej na polityka Anglii w r. 1934, później zaś załamanie się polityki francuskiej i dążenie zjednoczeniowych na Bałkanach po śmierci Barthou i Aleksandra, — wszystko to pozwoliło Mussolinemu na nową ofensywę dyplomatyczną przeciw Albanii, a Zogu — na bezpieczną kapitulację (wrzesień 1934 r.), przypieczetowaną nowymi koncesjami gospodarczymi i politycznymi w r. 1936. Jeśli Mussolini przez cztery lata jeszcze pozostawiał Albanii jej pozorną niepodległość, to dlatego, że prowadząc rozgrywkę w Afryce i w Hiszpanii, starał się zapewnić sobie pokój na Bałkanach i bezpieczeństwo od strony Anglii, coraz bardziej interesującej się tym terenem jako możliwą bazą wypadową Niemiec.

Dopiero jednak Monachium i bezkarna aneksja Czechosłowacji wydzwończyły Albanii godzinę śmierci politycznej.

5 kwietnia 1939 r. gen. Pariani, wówczas zastępca włoskiego szefa sztabu generalnego, wylatuje do Innsbrucku i tu wraz z Brauchitschem ustala plan kampanii. Już przedtem Włosi stawiają w Albanii na nogi kadrę piątej kolumny, która ma podnieść sztandar powstania wśród katolickich Ghegów. Instruktorzy włoscy zdradziecko rozbijają baterie nadbrzeżne Durazzo i Valony, ogoławając punkty strategiczne z wojska, dezorganizując zaopatrzenie. Jednocześnie hr. Ciano kamuluje przygotowania do aneksji uroczyste zapewnienie lorda Pertham ambasadora Wielkiej Brytanii, że Włochy nie mają żadnych apetytów na Albanie.

Mimo rozpaczliwego położenia Albania ultimatum odrzuca. Dnia 7 kwietnia 1939 r. 179 okrętów z 300.000 ludzi i 600 tankami na pokładzie, pod eskortą 400 aeroplanów stanęło u portów albańskich. Albańczycy mogli im przeciwstawić tylko wolę walki. Po 12-tu latach „organizowania” armii przez „sojuszników” włoskich mieli po jednym karabinie na trzech ochotników i po 3 naboje na karabin. Mimo tego w poszczególnych ośrodkach wybuchła spontaniczny opór. Durazzo bronią elewii żandarmerii i górale z pobliskich okolic, i sześć razy spychają w morze desant włoskie. Broni się Valona, której garnizon stanowi 35 żandarmów i grupa młodzieży szkolnej. Nad rzeką Arzeni chłopcy i studenci dwa dni powstrzymują marsz Włochów w głąb kraju. Przez tydzień niemal trzyma się Korcza. Ale działa okrętowe, tanki i lotnictwo robią swoje. Z dumą oświadcza Mussolini, że trzech dni zaledwie trzeba mu było na „wyzwolenie narodu albańskiego”.

Wyzwolenie to organizują nie tylko armaty, ale i signor konsul generalny, Giacomini, wkrótce już namiestnik Albanii. Zwołana przezeń „konstytuanta” uchwała unię z Włochami i ustrój faszystowski. Nowa konstytucja z 9 czerwca, karykatura faszystowskiego, przekazywała władzę w ręce króla włoskiego; dekoracją jeno był marionetkowy „rząd”, ograniczony do administracji ogólnej i spraw kulturalnych. W jakiej mierze ten nowy ład stanowił wyraz „wolnej woli ludu albańskiego”, świadczy gaffa Giacomini, który puścił do gazet tekst „uchwał” konstytuanta na dwa dni przed jej zwołaniem i dużo potem miał kłopotów z zamazaniem tej mimowolnej rewelacji.

Albania była Włochom potrzebna i jako baza surowcowa, i jako baza strategiczna do natarcia na Bałkany. Rozwój zagłębi naftowych i górniczych, rozbudowa portów, lotnisk Tirany, Durazzo, Valony, budowa dróg strategicznych, wiodących ku granicy greckiej — wszystko to wymagało stabilizacji stosunków. Tej zaś Włosi osiągnąć nie mogli. Do prac budowlanych i górniczych sprowadzać musieli kolonistów z Włoch, by stworzyć sobie bazę ludnościową i zabezpieczyć się przed sabotażem. Panowali właściwie tylko nad miastami i drogami. W górach i lasach Albanii Północnej i na granicach Epiru trzymają się oddziały partyzanckie, których jądro stanowiły oficerowie i podoficerowie armii albańskiej, siłą wcielonej do armii włoskiej; szeregi dopełnia młodzież, uchodząca przed zamierzoną przez Giacominię totalną mobilizację, która miała wydręnować naród z sił, zdolnych do oporu. Ruchowi jednak brakło koordynacji i reprezentacji międzynarodowej. Ahmed Zogu, który wraz z rządem uszedł do Londynu, miał przeciw sobie Jugosławię i Grecję, a i cała jego polityka nie mogła mu zyskać sympatii w Anglii i we Francji. Dlatego też niewyzyskany został dla sprawy albańskiej moment wojny włoskiej-greckiej, kiedy to wojska greckie wyparły najeźdźców z całej Albanii Południowej i zagroziły nawet Tiranie. Zawiniła tu dużo polityka grecka — niechęć do Zogu i zamysły o aneksji Albanii Południowej. W rezultacie bohaterstwo powstańców albańskich, którzy dezorganizowali tyły i zaopatrzenie armii włoskiej, zrównoważone było udziałem w wojnie batalionów albańskich na żołdzie włoskim.

Albańczycy nie zrezygnowali z walki nawet po upadku Grecji. Próby dojścia do porozumienia z rządem greckim lub jugosłowiańskim na emigracji zawiody i nie doszło do utworzenia projektowanego legionu albańskiego zagranicą — może dlatego, że w opinii bałkańskiej przeważa głucha niechęć do odbudowy Albanii, któraby znów mogła stać się bramą inwazji. Tak więc powstańcy zdani byli tylko na siebie. Nie mniej jednak ruch przybiera na sile. Już wypowiedzenie wojny przez „rząd” albański Stanom Zjednoczonym daje hasło do manifestacji, które przechodzą w starcia zbrojne. Nic dziwnego: znaczna część Albańczyków żyje na emigracji w USA i jedynie dopływ zapomóg i powrót wzbogaconych emigrantów zasila finanse uboższego kraju. Działania partyzanckie ograniczają się jeszcze do niszczenia siły żywej i zasobów przeciwnika oraz wypadów, dezorganizujących kopalnie, zaopatrzenie i administrację włoską. Z większych operacji wywdatniają się tak śmiałe wyczyny, jak masakra garnizonów w Czerowej, zniszczenie składów broni i amunicji w twierdzy Skutari, a zwłaszcza suchwał uderzenie wodza chłopskiego, Myslimi Pezy, na samą Tirane w 1942 r. Jeńców biorą partyzanci w takich ilościach, że w początkach r. 1943 Włosi oddają w zamian za oficerów garnizonów okręgu Skarapari wszystkich więźniów politycznych z Korczy i Argirokastron. W miastach działają grupy terrorystyczne, rekrutujące się z młodzieży szkolnej nie tylko męskiej, ale i żeńskiej. Strach przed terrorystami jest tak wielki, że policja dostaje rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do „zgrupowań” wyżej 5 osób, do osób zbliżających się nocą do gmachów rządowych, a nawet... do kobiet, zasłoniętych czarczafem! Włosi nie są w stanie opanować sytuacji — bombardowanie wiosek górskich i egzekucje zakładników zwiększają tylko zawziętość powstańców. Nie pomagają nawet dekrety „rządu” albańskiego, czyniące rodziców odpowiedzialnymi za przestępstwa dzieci; w rezultacie ochotnicy zgłaszają się do band powstańczych nie pojedynczo, ale całymi rodzinami. Ruch krystalizuje się; oblicze polityczne nadają mu przeważnie nauczyciele jako element najbardziej uświadomiony. Powstaje sześć pism tajnych. Ideologia ich jest jeszcze niejasna: niektóre wykazują tendencje prowsowieckie, inne skłaniają się ku starej idei inteligencji bułgarskiej i federacji wszechbałkańskiej.

Pod koniec r. 1942 partyzanci przechodzą już do walki po opanowaniu kraju. Zjazd wodzów w Czerowej 1942 r. proklamuje rząd Wolnej Albanii. Rząd ten utrzymał się wprawdzie przez trzy dni zaledwie, póki Czerowa broniła się ekspedycji włoskiej, nie mniej jednak rozwój ruchu powstańczego zwrócił uwagę Zjednoczonych Narodów na „zapomnianego sprzymierzeńca”. Już dawniej działały w Ameryce i Anglii komitety przyjaźni Albanii, domagające się uznania jej za naród sprzymierzony. Anglia jeszcze po wypowiedzeniu wojny przez Włochy zastrzegła sobie wolną rękę w stosunku do Albanii; teraz, 10 grudnia 1942 r. proklamuje prawo Albanii do niepodległości Cordell Hull, za nim idzie Eden równocześnie z Molotowem. Wieści te podrywają cały naród do walki. Partyzanci, uzgodniwszy działania, święcą radosny przełom brawurowym wypadem na Tirane. W miastach znów wybuchają rozruchy; całym krajem wstrząsa strajk powszechny po rozstrzelaniu zakładników w Valonie. Związka po lądowaniu Sprzymierzonych na Sytylii sytuacja staje się tak groźna, że Włosi decydują się na zmianę kursu.

Z początku polegali na sile i zadowalali się biernym parawanem marionetkowego rządu. Kiedy jednak sabotaż i partyzantka zaczęły im dezorganizować eksploatację kraju, musieli się uciec do subtelniejszych metod „współpracy”. Udało im się wprawdzie pozyskać pewne koła katolickie, pewne grupy obszarników mużmańskich, ale w masie Albańczyków pozostali wrodzy faszystom. Włosi zastosowali wiosną 1942 r. niezawodną do dotychczas w Albanii metodę prowokacji wzniecania, by podjudzić mużmanów przeciw chrześcijanom. Ale na pochwałę dojrzałości politycznej Albańczyków stwierdzić należy, że na prowokację wziąć się nie dali i odpowiedzieli na nie manifestacjami jedności narodowej, które przewalały się przez Tirane. Korczę, Argirokastron i Skutari falą ulicznych starć zbrojnych. Włochom pozostaje tylko terror. Ale terror ten starają się wykonywać rękoma samych Albańczyków, i dlatego usiłują wzmacniać autorytet „rządu” albańskiego. Mizerne to zresztą rządy. Nie mogą one liczyć nawet na własnych urzędników. Próżno każą im trzy razy ponawiać przysięgę urzędniczą. Premierowie nie mogą być pewni nawet własnych ministrów. Ostatni z premierów, Malik Bushati, osobistość mało znana, musiał kompletować swój rząd z drobnych urzędników i nauczycieli ludowych.

Rzym decyduje się pójść na ugodę. W marcu 1943 r. przybył do Tirany stary znawca Albanii, gen. Pariani, mianowany wicekrólem na miejsce niefortunnego Giacomini.

(Dokończenie na stronie 5-tej)

GEOFFREY CROWTHER

INFLACJA WOJENNA^{*}

Ograniczenie spożycia jest rzeczą nieprzyjemną. Nie należy tego jednak uważać go tylko za nieprzyjemny produkt uboczny finansowania wojny, tym mniej za zjawisko, którego można uniknąć przez zręczne planowanie. Ograniczenie spożycia jest i musi być świadomym celem wojennej polityki finansowej. W czasie wojny potrzeby państwa są nieograniczone. Państwo chce zaprząć w wysiłku wojennym tyle ludzi i materiału, ile to tylko jest możliwe. Skoro wysiłek totalny narodu jest z konieczności ograniczony, możliwie największą koncentracją zapasów na rzecz wojny jest jednoznaczna z ograniczeniem do minimum zapasów, zużywanych na potrzeby i pragnienia ludności.

Zasadniczym więc zadaniem finansowania wojny jest zmobilizowanie zapasów, uprzednio przeznaczonych na spożycie, dla celów wojny. Uzyskanie danej sumy pieniędzy jest jedynie sposobem przeprowadzenia tego przesunięcia. Nieuniknienie idzie za tym, że każdy plan finansowania wojny, który nie przewiduje ograniczeń spożycia, jest ipso facto planem nieskutecznym. Kiedy wojna przybiera prawdziwie totalny charakter, wysokość ograniczeń, nałożonych przez plan finansowy, jest miernikiem jego skuteczności, skoro jest tym samym miernikiem zapasów, którymi można dysponować dla prowadzenia wojny. Wybór więc pomiędzy różnymi sposobami finansowymi nie jest zatem wyborem pomiędzy metodami, przewidującymi większe lub mniejsze ograniczenia spożycia i ciężary dla ludności.

¹⁾ Fragment z broszury p. t. „Finansowanie wojny”, którą w przekładzie Marii Kaganowej ukazuje się nakładem Wydawnictwa „W Drodze” w polskiej serii „Oxford Pamphlets”.

Rozmiar ograniczeń jest ustalany nie przez politykę finansową, ale przez czynniki techniczne, takie jak ilości ludzi, zmobilizowanych do szeregów zbrojnych, do pracy w fabrykach zbrojeniowych, i przez ilość materiału, koniecznego dla wyposażenia i zaopatrzenia tych ludzi. Kierownicy polityki finansowej wybierać mogą pomiędzy różnymi sposobami rozłożenia pełnej sumy ofiar między różnych członków społeczeństwa.

Istnieją trzy główne sposoby, których użyć może rząd, by dobra i usługi ludności zamiast na spożycie postawić do swojej dyspozycji. Najpopularniejszym sposobem jest opodatkowanie. Teoretycznie rzecz biorąc, rząd mógłby zwiększyć opłaty i podatki tak, by przyniosły one 4.000 milionów funtów rocznie, pozostawiając ludności do wydatkowania 3.000 milionów. Drugą metodą są pożyczki, które w swej najprostszej formie miałyby dokładnie ten sam skutek gospodarczy co opodatkowanie, z tym jednak, że rząd musiałby płacić odsetki od tych pieniędzy. Pożyczki mogą naturalnie być przymusowe i dobrowolne. Trzecią metodą jest inflacja, którą ze względu na to, że ze wszystkich trzech sposobów najtrudniej ją jest zrozumieć, musimy teraz wytłumaczyć i rozważyć.

Niezliczone są określenia inflacji. W odniesieniu jednak do polityki finansowej wojny oznacza ona tylko jedno: jest to nazwa dla metody ograniczania spożycia ludności przez zwiększenie cen przedmiotów kupna. Zadaniem każdej wojennej polityki finansowej jest zmniejszenie powszechnego spożycia. Podatki i pożyczki sprawiają, że zabiera się ludziom pieniądze, zanim zdążą je wydać: inflacja pozwala im wydawać tyleż co przedtem, ale dba

o to, aby za te pieniądze otrzymywali mniej.

Podkreślić należy, że zwyczaj cen nie jest tylko nieszczęśliwym wytworem ubocznym inflacji, w jeszcze mniejszym zaś stopniu — nieuniknioną konsekwencją polityki inflacyjnej. Zwyczaj cen jest istotą całego systemu inflacyjnego, jest środkiem do osiągnięcia celu. Zbyt często definicje inflacji koncentrują uwagę na samym tylko mechanizmie wzrostu cen, pomijając przyczynę, dla której muszą one ulec wyższości. Aż nadto często mężowie stanu, przeprowadzający inflację, wydają ustawy, mające na celu położenie kresu wyższości cen, nie rozumiejąc, a przynajmniej nie przyznając, że gdyby im się to udało, ich własna polityka zbankrutowałaby. Musimy stanowczo podkreślić, że celem inflacji jest spowodowanie wyższości cen.

Sposoby, jakimi inflacja doprowadza do wyższości cen, mogą być proste lub złożone. Najprostszym sposobem byłoby wypuszczenie przez rząd dużej ilości banknotów, którymi pokryłby koszty wojny, unikając zarówno zwiększonego opodatkowania, jak i zaciągania pożyczek. Tymi nowodrukowanymi pieniędzmi rząd płaciłby żołnierzom, płaciłby za stal, płynne paliwo, umundurowanie i za tysiące innych przedmiotów, których potrzebuje dla prowadzenia wojny. Pieniądze te zostałyby wydane na niemal że te same przedmioty, na które wydaje je ludność. Wydatki rządu zwiększyłyby się, a wydatki ludności nie zmniejszyłyby się. W czasie wojny jednak dostawy są bardzo ograniczone (z wyjątkiem, być może, pewnego wstępnego okresu, w którym bezrobotni zostają zatrudnieni). Wobec tego byłoby więcej pieniędzy dla nabywców tej samej, a może i mniejszej, ilości dóbr. Zwyczaj cen byłaby nieunikniona. Ceny musza wzrosnąć, gdyż tylko w ten sposób można ograniczyć zakupy ludności i postawić do dyspozycji rządu tę ilość dóbr i pracy ludzkiej, jaka jest konieczna dla prowadzenia wojny. Rząd będzie musiał drukować banknoty, wprowadzać je w obieg i podbijać ceny tak długo, aż uzyska odpowiednią ilość ludzi i materiału. Jeśli jakimś odłamom społeczeństwa uda się uzyskać wobec zwiększonych kosztów utrzymania zwiększenie swego dochodu (np. związki zawodowe uzyskały wyższą płacę), to oznacza to jedynie, że rząd będzie musiał puścić w obieg jeszcze więcej pieniędzy, a ceny wzrosną jeszcze bardziej. Dla ogółu ludności niemożliwe jest uporanie się ze wzrastającymi kosztami utrzymania (choć jest to rzeczą możliwą dla pojedynczych grup ludności kosztem innych grup), gdyż celem całego procesu — powtarzamy to raz jeszcze — jest ograniczenie spożycia całego społeczeństwa.

Taka jest — najprościej rzecz ujmując — metoda działania inflacji. Następne dwa ustępy omawiają drugorzędne cechy w stosunku do tej głównej zasady.

We współczesnym społeczeństwie banknoty stanowią jedynie drobną cząstkę pieniądza obiegowego. W Wielkiej Brytanii większość wypłat dokonuje się za pomocą czeków, bez użycia banknotów. Znaczący to, że większość zaopatrzenia pieniędzy Wielkiej Brytanii, to depozyty bankowe. Ten tak zwany „pieniądz bankowy” mogą w pewnych granicach banki stworzyć, i to nawet z mniejszym kłopotem, niż przez druk pieniądza papierowego. Rząd, przeprowadzający inflację w nowoczesnym społeczeństwie, przeprowadzi ją nie tyle przez druk banknotów, ile drogą zmuszania banków do oddania większej ilości pieniądza bankowego — np. depozytów — dla użytku rządu. Zresztą nie musi to być proces bezpośredni. W czasie wojny lat 1914—1918 zachęcano ludność do zaciągania pożyczek bankowych i lokowania pieniędzy w pożyczkach wojennych. Sprawiło to wrażenie prawdziwej pożyczki — czy skarb nie pożyczal od jednostki? — a jednak tym niemniej była to inflacja, gdyż pieniądze, pożyczane rządowi, zostały na ten cel specjalnie stworzone. Sprawdzianem jest, czy każdy funt, wydatkowany przez rząd, pochodzi z czegoś do dochodu? Jeśli tak, to nie było inflacji. Lecz jeśli wydatki rządu wzrastają bez zmniejszenia wydatków ludności — funt za funt — to wtedy, bez względu na to, jaka będzie pozorna forma tej operacji finansowej, będzie to w istocie inflacja. Gdy rząd, by finansować swe wydatki drogą tworzenia pieniądza, nie zawsze stosuje zwyczaj cen. Jeśli istnieje duże bezrobocie, to wtedy nowo stworzone pieniądze nie rywalizują z istniejącymi wydatkami ludności; pieniędzmi tymi można opłacić bezrobotnych i kupić dobra, przez nich wytworzone. Innymi słowy, jeśli podaż dóbr i pracy wzrasta w tym samym stopniu, co pieniądza, nie ma powodu do wyższości cen, ani nakładania nowych ciężarów na społeczeństwo. Takie były — z grubsza biorąc — metody finansowe hitlerowców, stosowane pod zręczną opieką dra Schachta w ciągu pierwszych pięciu lat. Lecz kiedy dr Schacht podniósł, że metodę tę można stosować bez wyższości cen — to znaczy bez spadku spożycia ludności — tylko tak długo, jak długo istnieją wolne rezerwy ludzkie i zaopatrzeniowe, dostał dymisję. W warunkach wojennych nie ma wolnych rezerw ludzi i materiału. W konsekwencji, jedynym sposobem, w jaki inflacja służyć może celom rządu, jest zwyczaj cen.

Wszystkie odłamy opinii publicznej są jednomyślnie co do tego, że inflacja jest katastrofalną metodą wojennej polityki finansowej i że trzeba jej uniknąć za wszelką cenę. Wydatki ludności trzeba jednak zawsze zmniejszyć. Nie to więc jest istotnym motywem sprzeciwów przeciw inflacji. Lecz osiągnięcie tego celu przez wyższość cen (gdyż to jest prawdziwy sens inflacji) posiada wiele niedogodności, które po krótko opiszemy.

1. Jest ona niesprawiedliwa, jeśli idzie o rozłożenie obciążenia między bogatych a biednych. Jeśli ceny wzrosną o 20%, to wtedy spożycie, zarówno bogatych jak i biednych, zmniejszy się w tym samym stopniu. Jest to sprzeczne z zasadą proporcjonalnego opodatkowania, nakładania ciężaru w stosunku do zdolności płatniczej.

2. Jest ona niesprawiedliwa w stosunku do różnych rodzajów dochodu w tej samej wysokości. Człowiek, który czerpie swój dochód z renty lub też z lokaty, ponosi cały ciężar wyższości cen. Człowiek, którego dochód pochodzi z uposażenia, może uzyskać jego wyższość, a tym samym częściowo zmniejszyć ciężar wyższości cen. I choć, — jak już poprzednio powiedzieliśmy, — nie dogoni wyższości cen, to jednak podwyżka uposażenia, powodując nowy wzrost cen, nakłada nowe ciężary na człowieka o stałych dochodach. Ktoś, kto czerpie swój dochód z prowizji (jak n. p. agent czy pośrednik), spostrzeże, że dochód jego wzrasta pari passu ze zwyczajem cen. Także rozłożenie ciężaru jest zupełnie przypadkowe i z gruntu niesprawiedliwe.

3. Inflacja jest nieskutecznym sposobem osiągnięcia celu, którym jest zmniejszenie spożycia ludności. Niektóre bowiem odłamy ludności znacznie zwiększają dzięki niej swój dochód. Kupcy, którzy kupili towary, przetrzymali je przez pewien czas, a potem sprzedali, uzyskują zupełnie nieusprawiedliwione zyski, jeśli w czasie pomiędzy kupnem a sprzedażą ceny wzrosły. Każdy, kto przeżył ostatnią wojnę, pamięta, że stopa życiowa setek tysięcy kupców, marży i wielkich, wzrosła w czasie wojny. Speculanci są wytworem inflacji.

4. Inflacja powoduje ciężkie zaburzenia społeczne, zarówno w czasie jej trwania, jak i potem. Gdy ceny wzrastają, mnożą się strajki, spowodowane żądaniem wyższych płac. Gdy inflacja się kończy i ceny stabilizują się na wysokim poziomie, to te odłamy społeczeństwa, które były nią najbardziej dotknięte i zubożone, mają poczucie krzywdy, które może się stać niebezpieczne. Po ostatniej wojnie ceny w Anglii ustabilizowały się na poziomie zaledwie o 50 procent wyższym od cen przedwojennych i mogliśmy sobie pozwolić na żarty o „nowo-biednych”. Ale we Francji, gdzie ceny ustabilizowały się na poziomie pięciokrotnie wyższym od cen przedwojennych, nie było miejsca na żarty. W Niemczech, gdzie inflacja osiągnęła fantastyczne rozmiary, cierpienia stanu średniego zrodziły ruch hitlerowski. Ponadto, cierpi nie tylko bogaty rentier stanu średniego. Wszyscy emeryci, żyjący ze swoich oszczędności, będą mieli dochody, których siła nabywcza będzie znacznie niższa od przedwojennej.

Te braki wystarczą dla potępienia inflacji. Posiada ona tylko jedną zaletę: jest łatwa.

„Polityczne argumenty, przemawiające za inflacją, są olbrzymie, — powiedział p. J. M. Keynes. — Nikt nie musi ponosić odpowiedzialności za inflację, nawet minister skarbu... Partii Pracy... nikt nigdy nie poprosi o wyrażenie zgody na inflację. Inflacja poprostu się zdarzy. Jest to naturalna reakcja, która przyjdzie jak przypływ morza — cicho, nieostrzeżenie i nieodparcie. Pomoże jej nasza tradycja laissez-fairyzmu... Skorzystają z niej pewne wielkie interesy. Naoliwi wszystkie koła, a reżim zwiększonych płac i zysków stwarza iluzję dobrobytu. A więc, jeśli ktoś chce stanąć do zawodów, zawsze będzie faworyzował inflację”.

Kuszająca łatwość inflacji sprawia, że staje się ona groźbą. Skoro inflacja przychodzi sama, jeśli się niczego innego nie przedsięwzię, to zagadnienie finansowania wojny sprowadza się do poszukiwania środków dla jej zapobieżenia. Podczas prawdziwie wielkiej wojny jest rzeczą wątpliwą, czy można pokryć wszystkie jej koszty bez pewnej przymieszki inflacyjnej. Jak się za chwilę przekonamy, zadanie zdobycia około 4.000 milionów funtów rocznie przez opodatkowanie i nieinflacyjne pożyczki (to znaczy pożyczki, które istotnie zmniejszają wydatki społeczeństwa o pełną sumę, otrzymaną przez rząd) jest zadaniem tak trudnym, że graniczącym z niemożliwością. Trudność nie polega na tym, że spożycie społeczeństwa nie mogłoby być zmniejszone w tym stosunku, — musi być i będzie, — ale na tym, że połączenie jest z procesem tak bolesnym, iż nie może on być jawnym. Trzeba go pozostawić do przeprowadzenia zasadzie, która działa „cicho, nieostrzeżenie i nieodparcie”.

Jeśli jednak nie możemy uniknąć inflacji w zupełności, to powinniśmy zrobić, co tylko można, by rolę jej zredukować do nieuniknionego minimum.

ALBANIA

(Dokończenie ze str. 4)

go. Pariani nawiązała kontakt z wodzami powstańców, ofiarując im w zamian za zaprzestanie oporu zamianę unii rzeczowej na personalną, odbudowę armii narodowej, wycofanie karabinierów, przywrócenie Albanii własnej reprezentacji dyplomatycznej (choć pod kontrolą rzymskiego MSZ), zniesienie unii celnej i przekształcenie Albańskiej Partii Fasystowskiej w Straż Wielkiej Albanii. Dyplomacja jednak generała poniosła także fiasco, jak militarne rządy dyplomaty.

Tymczasem w sprawy albańskie zaczynały interweniować Niemcy. Wobec osłabienia Włoch zaczynają penetrować do Albanii już w początkach r. 1943; po upadku Mussoliniego obsadzają lotniska. Z dniem kapitulacji Włoch 35.000 Niemców wkroczyło do Albanii. Wyzyskując nastroje antywłoskie i spekulując na hasłach niepodległościowych, Niemcy zdołali pociągnąć za sobą przeciw Włochom znaczną część partyzantów. Większość jednak przywódców „czet”, zorientowawszy się w sytuacji, nawiązała kontakt z antyfaszystowskimi elementami armii włoskiej, zwłaszcza z oddziałami dwóch dywizji bersaglierów, które wycofały się w góry, by tam prowadzić „małą wojnę”. W oddziałach albańskich zjawiają się oficerowie włoscy, przynosząc ze sobą nowoczesny oręż, zwłaszcza artylerię górską, której brak dotkliwie dawał się odczuć.

Grajac na patriotyzmie Albańczyków, Niemcy w październiku proklamowali niepodległą Albanię, oddając jej jeszcze należącą do Serbów Kossową Planinę, stary przedmiot marzeń nacjonalistów albańskich. Posunięciem tym udało się Niemcom nie tylko skłócić Albańczyków z Serbami, nie tylko pozyskać byłych quislingów i związane z nimi ugrupowania, ale nawet elementy rozczarowane niezdecydowaną pozycją Sprzymierzonych i stworzyć tym samym podstawy dla nowego rządu proniemieckiego.

Ruch jednak niepodległościowy szybko przezwyciężył kryzys. Rozstrzelanie przez Niemców zgórą 700 zakładników wstrząsnęło krajem i pełną do walki te nowe elementy, które dały się pociągnąć antywłoskim i niepodległościowym frazesem agentur niemieckich.

Powstańcom jednak brak jedności, brak wyraźnej linii politycznej. Południe przez pewien czas ulega wpływowi prosovietckim, których nosicielem jest otwarcie komunistyczna „Brygada Zemsty” Mehmeta Szena, byłego bojownika republikańskiej Hiszpanii. Na północy penetrują wpływy Tita. Natomiast na wybrzeżu i na równinach przeważają konserwatyści, skłaniający się ku uznaniu Ahmeda Zogu. Przez Albanię więc biegnie też sama linia podziału, która Greków i Jugosławian rozbiła na wrogie obozy. Sprawę Albanii komplikuje w dodatku niejasna sytuacja na terenie międzynarodowym i zupełny brak reprezentacji zagranicznej.

Prawda, odkąd Sprzymierzenni dotarli do Adriatyku, Albania nabrała dla nich znaczenia brazy frontu bałkańskiego. 8 września 1943 r. gen. Wilson wystosowuje orędzie do Greków, Jugosławian i Albańczyków, którego otrzymanie powstańcy albańscy pokwitowali śmiałym napadem na Tirane. W Albanii pojawia się brytyjska misja wojskowa i ame-

rykańscy oficerowie łącznikowi, pojawia się broń i amunicja angielska. Ale sytuacja sprawy albańskiej na terenie międzynarodowym nadal jest niepewna. Deklaracje trzech rządów z grudnia 1942 r., poparte w imieniu Wolnych Włochów przez hr. Sforza, nie zadowolily Albańczyków, stawały bowiem pod znakiem zapytania ich granice, nie wypowiadając się w sprawie roszczeń Grecji do Albanii Południowej. Dopiero deklaracja Churchilla z 4 listopada 1943 r. wspomina między innymi wbrew roszczeniom greckim o prawie Albanii do granic z r. 1939.

Co więcej, deklaracje grudniowe odkładały na później sprawę uznania państwowości albańskiej, nie dając podstaw do stworzenia reprezentacji narodowej. Zogu i jego przedstawiciele nie byli uznani, akcja więc albańska zagranicą przeszła w ręce największych środków emigracyjnych w Ameryce, gdzie skupiała się w „Varta” (federacja 90 ognisk albańskich w USA i Kanadzie). Sekundują im komitety Przyjaciół Albanii w Londynie i New Yorku, które wywierają nacisk na swe rządy o uznanie Ahmeda Zogu jako symbolu prawnej ciągłości państwowości albańskiej. Arcybiskup Fan Noli jednak, który, uszedłszy z kraju, skupia wokół siebie elementy opozycji jako głowa prawosławnego kościoła albańskiego w Ameryce, stanął na stanowisku, że reprezentować Albanię winien nie być król, ale zjednoczony front narodowy, którego członkiem tylko może być Ahmed Zogu. W kraju zaś zwolennicy Zogu bynajmniej nie zyskują na sile. Prawda, wobec bierności opozycji na terenie międzynarodowym i żywej aktywności nie uznawanych, ale nadal pracujących poselstw albańskich w Ankarze, Kairze i t. d. sprawa Ahmeda Zogu zyskuje grunt w opinii europejskiej i amerykańskiej. Zwłaszcza ostatnio, wiosną r. b., działalność ta wzmożła się znacznie wobec przewidywanego desantu Sprzymierzonych na Bałkanach. Do desantu Sprzymierzonych dla sytuacji sprawy albańskiej na terenie międzynarodowym ważne pozostaje stanowisko rządu USA, zawarte w liście Cordell Hulla do byłego posła w Tiranie, Chalesa G. Harta, prezesa Komitetu Przyjaciół Albanii, a streszczające się w dwóch punktach: zasadnicze uznanie niepodległości Albanii, ale odmowa uznania jakiegokolwiek jej przedstawiciela narodowego. W chwili obecnej zresztą nie widać sił, które mogłyby skonsolidować kraj politycznie. Nie wiadomo nawet, ktoby mógł rokować ze Sprzymierzonymi w imieniu kraju. Zwycięstwo Sprzymierzonych na zachodzie i załamanie się frontów niemieckich na wschodzie tak wstrząsnęły podstawami stworzonego przez Niemców reżimu, że powołana przez nich Rada Regencyjna podała się do dymisji, a urzędy centralne po prostu rozpadły się i to jeszcze przed rozpoczęciem działań na Bałkanach. Na ich miejsce skłócenie między sobą partyzanci nie zdołali jeszcze postawić nic. W toku walk wyzwolone przez nich okręgi wiejskie powracały właściwie do tradycji życia plemiennego. Zajęcie miast nadmorskich — jedynych właściwie ośrodków życia nowoczesnego Albanii — stawia zagadnienie stworzenia nowej administracji.

Józef Nowak



Na Mokotowie

ULICA WARECKA

Szli rzemieślnicy, akademicy, robocizarze, burżuja i hołota,
Zmizerowane i jeszcze syte twarze, mamine synki i sierota.

W sercu nieśli Warszawę i Polskę — bez zbędnych słów,
A na twarzach zakrzepły męski gniew.
W rękach — miast karabinów — jeszcze łopaty,
Psiakrew ! !

I codziennie ich zbierała ulica Warecka i codziennie żegnała,
Mówiła jak matka do dziecka, wyprawiała, gdy nad miastem syreny
wyły,

Gdy nad miastem zle ptaki krążyły, pociskami były:
O... o... o... Zzii... iii... bech !...

Aż zapierało w piersi dech, aż serce przestawało bić!
Nagle sygnęły się zewsząd syby, łomot, huk, trzask,
I ktoś zaczynał wyc: „Aa... aaaa...”
I krzyk straszny, wrzask żywem obdzieranego ze skóry:
„Boże, Boże ! I Ty patrzysz z góry !”

Opadał dym i kurz, sypała się ulica Warecka w gruz !
Płomienie zakwitały nad nią, jak sztandar czerwony,
I na wicherze powiewały — w owe dni wrześniowe,
Dni klęski i chwały !...



ul. Szpitalna

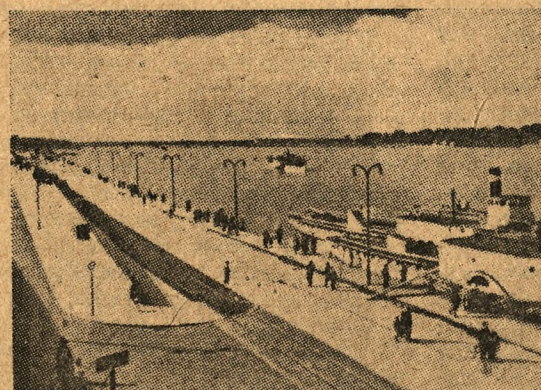
ULICA OPACZEWSKA

Ja jestem zła ulica ! Nie przystępuj do mnie !
Najeźdźco, który niesiesz śmierć samolotową.
Swojego bronisz miasta twardo i niezłomnie,
Do walki jestem zawsze skora i gotowa.

Ja jestem zła ulica, stawiam barykady
I pluje armatami, karabinem wałę,
Nie przerażaj mnie twoich bomb tonnowych grady
I czołgi twe jaszczurcze chwytam wciąż zuchwale.

Ja jestem zła ulica, lecz kocham swe dzieci,
Których mi codziennie więcej na łonie umiera,
Gdy kamieniem gromnica przyletem jasno świeci.

Ja jestem zła ulica, lecz choć głód doskwiera,
Nie wpuszczę cię do miasta, gwałcieliu krwawy...
Ja — pani Opaczewska — bronię dziś Warszawę.



Bulwary nad Wisłą

WIERSZY O WARSZAWIE

Z POEZJI POLSKI PODZIEMNEJ

PLAC TRZECH KRZYŻY

Plac Trzech Krzyży — dlaczego tylko trzech, nie więcej ?
Tyle ich przecie wyrosło świeżych, męskich, kobiecych, dziecięcych...
Jak świeże, ruchome jeszcze krętowisko codziennie z ziemi wyrastały,
Podchodziły aż do kamienic blisko i znów od nich odbiegały.

A byli tacy, których razem zabito : całe rodziny, pięć i sześć głów,
Trafiła ich nagle granat — padali bez słów...
A potem wszystkich grzebano na placu, placu Dziesiątów Krzyży...
I znów granaty gwizdały nad nad nimi i rwały się coraz bliżej...

Trafiały i zapalały kamienice, aby świeciły tym, którzy ginęli,
Niczem upiornie gromnice — płonące coraz śmielej...
I palił się Plac Trzech Krzyży wokół świętego cmentarza,
Palił się coraz bliżej — krwawą ofiarą ołtarza.

ALEJE JEROZOLIMSKIE

Dnieje...
Przez Jerozolimskie Aleje
Świt rudy od spalenizn przeważa się ciężko
I potraça raz jeszcze dymów kłasią krwawą...

Warszawo ! Wszak płakać nie jest rzeczą męską,
A jednak świt ten widział gorzki plac żołnierza,
Gdy ciężkim, jakże ciężkim wówczas krokiem zmierzzał
Składać broń...

Warszawo ! Pałata żołnierska skroci,
Czerwień barwiła twarz...
Oto, żołnierzu, masz
Za znoj, za trud swój krwawy,
Masz — kapitulację Warszawy...

O jakże palą liście laurów sławy !

Dnieje...
Przez Jerozolimskie Aleje,
Obok grobów z żołnierskim hełmem na mogile,
Świt, rudy od spalenizn, ciężko dziś powstaje...

Warszawo !
A jednak w historii są też takie chwile,
Kiedy się pada, lecz się nie poddaje...
Idzie więc żołnierz ołowianym krokiem
Przez Jerozolimskie Aleje
Do niewoli...

Od grobów z hełmami odwraca się wzrokiem,
Ręka za broń już nie chwytając...
O, jak to boli...

A jednak — świta...
A jednak — miasto, chociaż w gruzach — stoi !

Przez Jerozolimskie Aleje,
Poprzez barykad kamiennych wierzeje,
Ołowianym krokiem idą żołnierze
I już nikt o nic nie pyta...

Dnieje...
Dzień pierwszy niewoli — świta.

POWĄZKI

Kiedy zmarłych przytulał na Powązkach cmentarz,
To proszono o wieczny dla nich odpoczynek,
O to drzące modliły się usta babinek :
— Wieczne odpoczywanie daj im, Matko Święta.

A dzisiaj już z grobowców wyrzucone ciała,
Siłą wybuchów leżą, zda się, do wrót nieba,
By poskarżyć się w Górze, tam, gdzie chyba trzeba,
Ze ich nienawiść żywych aż z trumien wygnała.

W grobowcach żywi ludzie, miast zmarłych, stłoczeni,
Byle więcej nie słyszczyć huku ni dudnienia,
Przed ulewą pocisków szukają schronienia...

O, jak wielkie jest życia ludzkiego pragnienie !
Żywi w grobach ukryci, a zmarli z nich wstali...
Na Powązki wciąż granat za granatem wali.

Przedrukujemy tu dwanaście wierszy o Warszawie, wydanych po Wrześniu 1939 r. konspiracyjnie w kraju w „Antologii poezji współczesnej”, przedrukowanej następnie w Głosie z przedmową Tymona Terleckiego. „Ta poezja szorstka, często zgrzebna, czasem prostacka, lekceważąca wymyślność, nawet poprawność poetyckiego kształtu, jest bezwzględnie prawdziwa. Doje świadectwo prawdziwe rozgromu i prawdziwie zaiste ludzkiego przeświadczenia” — pisał o niej autor przedmowy w r. 1942. Dlatego i dziś ma ona dla nas szczególne pretium affectionis jako autentyczny dokument ducha Warszawy. Jeden z przedrukowanych tu wierszy, „Warszawo”, wydany został pod inicjałami — Oj. Wszystkie inne wyszły spod pióra poety, który ukrywa się pod kryptonimem — Świadek.



Politechnika

WARSZAWA

Gdy o Ojczyźnie mojej myślę —
Myślę: Aleje, Zjazd, Powiśle...

Tobie Ojczyznę wioska, ruczał,
Mnie — Mokotowska, Bracka, Krucza...

Nie las, nie łąka, nie łan zboża,
A Krzywe Koło, Wspólna, Hoża...

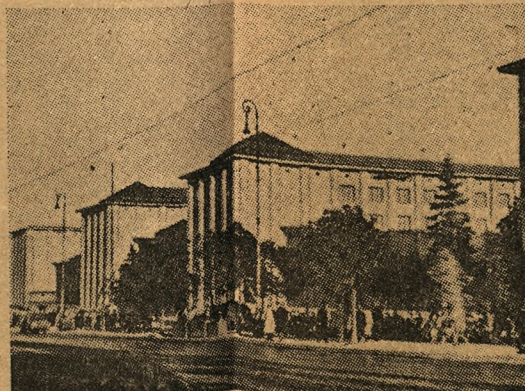
I kiedy bierze mnie tęsknota,
To myślę: Chmielna... marzę: Złota...

Jeśli mam zginąć — dobry Boże,
To za spalone domy Hożej.

Jeśli mam zginąć — niech mnie zniszczą,
Za Nowy Świat, podobny zgłiszczom,

Za Świętokrzyską zrujnowaną
Za Dobrą, Twardą i Drewnianą...

Lecz przedtem — daj mi ujrzeć latem
Księżyc, idący Mariensztatem...



Muzeum Narodowe

ULICA MARSZAŁKOWSKA

Przez Marszałkowską długą ulicę żołnierze idą i idą.
W bandażach głowy, ciała połowy świecą swym bólem, swą biedą...

Przez Marszałkowską długą ulicę idą i idą żołnierze,
Świecą udręką, świecą swą męką, jak biedne ścigane zwierzę.

Przez Marszałkowską długą ulicę żołnierze jadą i jadą,
Każdy zmęczony, każdy znudzony, na wznak na wozach się kładą.

Przez Marszałkowską długą ulicę jadą w milczeniu, wciąż jadą.
W ich ręce drżące, usta gorące — kobiety jedzenie kładą.

Przez Marszałkowską długą ulicę aż groza nagle wionęła :
Nieprzeczuwane, niespodziewane — to widmo klęski stanęło.

Przez Marszałkowską długą ulicę rozbita armia się wlecze,
Oczy świejące, usta gorące... Czy z przeznaczenia uciecze ?

Przez Marszałkowską długą ulicę wraz z żołnierzami kuszyka
Reszta nadziei, reszta nadziei... lecz z każdym żołnierzem znika.

Przez Marszałkowską długą ulicę pochód posuwa się smutny,
Oczy świejące, usta gorące... O losie, losie okrutny...

RATUSZ

Nie będziemy już kręcić radiem na wsze strony,
Ani szukać Londynu, Tuluzę, Paryża,
Pilnujmy, aby słówka teraz nie uronić.
Uwaga ! Patrz na zegar, bo szósta się zbliża.

Cicho, cicho, nie mówić ! O, już jest, słyszycie ?
O, Boże, jak On mówi... Kaszle, przeziębiony,
Lecz się Niemców nie boi... Co, nie wysmienicie ?
Poprosił też aliantów o pomoc z ich strony.

Tak się codziennie Warszawa przy radiu wciąż zbiera,
By słuchać, jak ich krzepi Prezydent z ratusza,
Choć granaty wciąż biją i choć głód doskwiera.

On stolicy nie odda, On — stolicy dusza —
Wysoko dzierży sztandar miasta męczeńskiego,
Z „Warszawianką” na ustach — aż do upadłego !

ALEJA 6-GO SIERPNIA

Szeroka i żołnierska, legendy mianem ochrzczone,
Wybiegłaś hen w nieznane, beztrosko, jak przed laty...
I dzisiaj, tak jak ongi, trupami naznaczona,
Pożarów dymem skrywasz kwiciste rabaty.

Jak drogowskazy niesiesz spalonych las kominów,
Lejami znaczysz drogę, bryzgami złych szrapneli,
Placz maek i żon z tobą i rannych jęk twych synów,
I przerwienie w oczach tych, którzy śmierć widzieli.

Tylko gdzieś na początku — pod drzewem obraz mały —
Ucieczka udręczonych, przed którym lampa świeci,
Przed którym i we wrześniu modlą się małe dzieci...

I tylko gdzieś przy końcu — potężny i wspaniały —
Niezlomny Saper czeka, wsparty na karabinie,
Bo wie, że ludzie giną, lecz Ona, nie, nie zginie ! !

NOWY ŚWIAT

Gdzież jest, zalotnico, kusząca i strojna ?
Gdzieś podziła swych mężczyzn wlokący się tren ?
Błask twych oczu — neonów pogasiła wojna,
Oszpecił cię rowami dziś saperski dren.

A teraz się rumienisz od pożarów cała
I opadł w gruzy wszystek krasa twojej zysk,
Wciąż gwałcona bombami się rozdygotałaś,
Rozsypałaś w rynsztoki swych świecideł bliszc.

A wśród gruzów, w piwnicach, niczem w wielkim grobie,
Ludzie w coraz to innej kamienicy mrą...
Rendez-vous na chodnikach twoich dają sobie
Zuchwały szrapnel z bombą, krzykliwą i złą.



Odkopane mury średniowieczne

TEATR WIELKI

Straszny Dwór już spalony, rozbity bombami,
Znikła Halka, a Jontek z Flisem gdzieś biją...
Krakowiacy, Górale, Harnasie z torbami
Już poszli i niewoli gorzkim chlebem żyją...

Duma więc Bogusławski nad kolejną losów,
Gdy nad teatrem jego Walkirie cwałują
I kiedy Nibelungi, sięgnąwszy niebiosów,
W ogniu i krwi się pławia, które tak miłują...

Spiewacy Norymberscy — gracie nad Warszawą
Z Mefistofelesowym złowieszczym chichotem
Wagnerowską operę — hukiem, zgiełkiem, wrzawą

I setką ofiar, codziennie kładzionych pokotem.
Teatr Wielki się pali, lecz choć w gruzach stoi —
Pan Twardowski się broni, diabła się nie boi.



Dom Akademicki

PLAC ZAWISZY CZARNEGO

Na Placu Zawiszy Czarnego, symbolu honoru rycerza,
Tuż obok armaty gotowej karabin gurt kulek wyszczerza.

Z armatą, wpuszczoną w głąb ziemi, okopem Plac cały rozdziarty,
Plac cały Zawiszy Czarnego śmiertelne rozstał już warty.

Plac cały Zawiszy Czarnego niezłomnie trwa dniami, nocami,
Obrzucan bombami codziennie, codziennie usłany trupami...

Codziennie usłany grobami wśród skał na skwerku zieleni,
Na lufy armatniej widoku, w krwi młodej, gorącej czerwieni...

Choć z niebios wciąż piekło nadlatła, choć z niebios bombami rzucają,
Na Placu Zawiszy Czarnego honoru wciąż bronią, nie dają !

A niebo się z piekłem sprzymierza, a piekło się z niebem zbrało,
Na Placu Zawiszy Czarnego znów czyjeś bić serce przestało.

Na Placu Zawiszy Czarnego, na Placu Czarnego Zawiszy,
Rycerza jak mur niezłomnego, wiatr do snu dziś groby kołysze...



Pałac Staszcyka

LUDWIK BRZESKI

OSTATNIA KARTKA PAMIĘTNIKA

Front adriatycki, sierpień 1944 r.

— Melduję, panie pułkowniku, otrzyma-
liśmy wiadomość: nieprzyjaciół z rzeki Ce-
sano odchodzi!

Dowódca Lwowskiej Brygady wstaje z za-
stołu i dysponuje:

— Natychmiast zorganizować pościg!
Porozumieć się z „Czwartakami”!

„Czwartacy” stoją między Misą a Cesano
i klną, na czym świat stoi. Mieli o świcie
ruszyć do natarcia, ale całą noc szalała burza,
deszcz lał ulewny i, oczywiście, po błocie czoł-
gi pójść nie mogły. Teraz wypogodziło się
trochę, wyszło, ale kto wie, na jak długo
odroczone natarcie. Najgorsze to głupie wy-
czekiwanie! Już tak jest, że wojna składa
się z pośpiechu i czekania. Wpierw się pędzi,
pędzi, goni, a później staje się i czeka na
dalsze rozkazy. Gdyby nie bridy, można by
oszaleć z nudów! Między dwoma zamasko-
wanymi, pokrytymi siatkami czołgami stoją
cztery składane krzesła, a w środku stolik.
„Idzie” trzeci rober. Trochę dalej plutonowy
opowiada kolegom o Kairze:

— Dobre, mówię wam, były dziewczęta
w Badija. Łagodne, nieśmiałe i niedrogie.

Podchorąży, leżąc na trawie, w cieniu
drzewa, czyta list, dopiero co otrzyma-
ny. Basia jest ochotniczką, pracuje w plu-
tonie radiowym i zachwyca się wojną: „Za-
zdraszczę Ci, — pisze. — Tam, na froncie,
gdzieś jesteś, musi być naprawdę pięknie!...“
Tuż obok Witka przyjaciel jego, radioopera-
tor czołgów, kapral Jur, trzyma na kolanach
zeszyt i pisze. Takie śmieszne: duży, 22-u-
letni chłopak, a pisze. Jak pensjonarka!

— Panie poeto! — mówi kapitan, nie od-
rywając oczu od kart, — nie warto pisać!
Kobiety wierszami nie zdobędziesz! — I do-
daje: — No, Bogdan, powiedziałem: cztery
bez atu...

Ale Jur udaje, że nie słyszy, i pisze dalej:
„Lilly ma zielone oczy i jasne włosy.
Nie tak, jak wszystkie Włoszki. Kiedy
całuje, mruży oczy, a potem patrzy na
moje usta i palcem delikatnie ściera mi
szminkę z warg. Uśmiecha się wtedy,
jak niewinne dziecko, które zrobiło przy-
jemny kawał. Przepraszam za tę szminkę,
mój cicho: „scusi”... a potem całuje
znowu... Stąd do Castelfidardo jest
daleko, chyba tak samo daleko, jak z
piekła do nieba...”

— Dowódca trzeciego szwadronu do pana
pułkownika, do wozu taktycznego!...

Kapitan Dz. wstaje:

— Panowie wybaczą, — mówi, — czuję,
że robra nie skończymy dzisiaj. Hallo! Panie
podchorąży!... Może pan skończy za mnie grę.

Podchorąży Witek niechętnie wstaje,
chowa list od Basi i bierze do ręki karty:

— Co licują?
— Szlemika w treflach.
— Szufladka nasza pusta?
— Pusta...

Gra toczy się dalej. Po chwili wraca ka-
pitan. Zgląda w karty podchorążemu:

— Dobrze pan to rozegrał, — mówi, —
tak, doskonale... Leżycie, panowie, bez dwóch.
Zapisz nam, Bogdan, na marsz.

Porucznik Bogdan zapisuje, potem unosi
głowę i pyta:

— Mam tasować karty, czy... jedziemy?
— Jedziemy. Skończymy robra chyba
za trzy dni. Dowódcy czołgów trzeciego
szwadronu na odprawę do mnie!

O czwartej trzydzięci szwadron rusza.
Czołgi przechodzą przez bród na Cesano i na-
wiązują łączność z utrzymującym przyczółek
na północnym brzegu rzeki batalionem pie-
choty majora F. W czasie gdy dowódcy
szwadronu i batalionu ustalają ostatnie szcze-
góły marszu na wzgórze 156, Jur oblicza:
„Od Cesano do Ancony jest 40 kilometrów.
Od Ancony do Castelfidardo...”

— Słuchaj, Jur, — przerywa mu rozważa-
nia Witek, — mam wspaniały pomysł! Obli-
czyłem, że Basia ma teraz dyżur na radio-
stacji. Może nas przypadkowo usłyszy. Na-
daj jej...

— Co jej nadać?...

— Ze... no, że myślę o niej, że tęsknię,
że po trzech dniach postaram się ją zoba-
czyć i...

— Zwariowałeś? Przed natarciem obo-
wiązuje cisza radiowa!

— A... prawda! Na śmierć zapomnia-
łem! Głupi jestem i tyle!...

— Wszyscy zakochani są głupi — stwier-
dza filozoficznie Jur i oblicza dalej: — Więc
z Ancony do Castelfidardo jest 22, razem 62
kilometry...

Nadchodzą rozkazy. Za chwilę ruszą.
— No, panowie, po kieliszku — dysponu-
je Witek. — Good hunting!...

Piją rum z jednego kieliszka kolejno: do-
wódca czołgu, strzelec, radiooperator, strze-
lec przedni i kierowca. Ten ostatni, wypiw-
szy, ociera rękawem kombinezonu usta i włą-
cza bież.

Jeden za drugim poczynają czołgać się
naprzód wielkie, potężne ciska shermanów.
Nie po zaminowanych drogach, a po zboczach,
nieraz po 45-o stopniowych pochyłościach.
Na 156 pełno opuszczonych bunkrów niemie-
kich. Trudno lawirować między nimi. Któ-
ryś z czołgów wywraca się, ale sierżant K. z
czołówki naprawczej pułku jest szybko na
miejscu. „Leulandem” stawia czołg „na no-
gi”. A tymczasem Niemcy poczynają strze-
lać. Udał, psiejuchy, że się cofają, ale gdzieś
tam na północnych zboczach okopali się i
czekają. Zaczyna się walka. Czołgi likwidu-
ją stanowiska broni maszynowej przeciwnika.
Szwadron idzie naprzód. Ale oto zjawiają
się pepance. Poczynają walić pociskami.
Dowódca szwadronu nie może prowadzić wal-
ki, będąc ukryty pod klapą. Musi widzieć sy-
tuację, widzieć wszystkie dowodzone przez
siebie czołgi. I oto nagle jakiś odamek nie-
przyjacielskiego pocisku trafia kapitana w
łopatkę.

— Trafili mnie, sukiny! — mówi i
osuwają się na siedzenie. — Nadajcie do Bog-
dana, żeby objął dowództwo szwadronu!...
Słyszycie?! — mówi do radiooperatora, gdy
ten nie odpowiada, — nadać do Bogdana, że-
by...

Radiooperatorowi zwisają bezwładnie ręce.
Przewyciężając chwilę nieprzytomności, u-
nosi głowę:

— Pan do mnie mówić, panie kapitanie?...

— Tak... wiadomość do Bogdana: Pro-
wadzić akcję!... I wezwać sanitarnego „stu-
arta”!...

Radiooperator ociera chustką zalane
krwią czoło i z wysiłkiem poczynają mówić:

— Zastępca... dowódcy... szwadronu...
obejmie akcję... Dowódca... ranny...
I natychmiast przychodzi odpowiedź:
— Niemożliwe. Zastępca ciężko ranny.
— Panie... kapitanie... Co robisz?...

Kapitan nachyla się do mikrofonu i
mówi: —

— Podporucznik F. obejmie akcję. Wo-
łać „stuarta”!...

Shermany rzucają się naprzód. Ogniem
swych dział i cekaemów zalewają przeciwni-
ka. Nadjeżdża „stuart”, ale sanitariusze wyjść
zeń nie mogą. A kpt. Dz. jest ranny, poruc-
znik Bogdan ranny, radiooperator czołgu do-
wódcy ranny... Sanitariusze, mimo ognia, de-
cydują się iść z pomocą. Na szczęście w tej-
że samej chwili poczynają milknąć, zduszone
lawiną pocisków, nieprzyjaciół. Można spokoj-
nie ewakuować rannych. Bogdan jest nie-
przytomny. Odamek pocisku trafił go w
głowę. Wypłynęło oko.

Zaczyna zapadać zmierzch. Wśród
pełnego zbrodni „stuart” wiezie rannych na
WPO. A w tym czasie czołgi, po zajęciu 156,
idą naprzód. Na 169!

Na ośrodku łączności „Czwartaków”
parucznik odbiera wiadomość: „Adam” zaję-
ty. Idziemy na „Władysława”. Dowódca i
zastępca dowódcy szwadronu ranni. A w
kilkanaście minut później: „Jest zupełnie
ciemno. Czy wejść na „Władysława”, czy
skonsolidować się w obronie na „Adamie”?”

I dowódca pułku, ppłk. D., zarządza:
„Cofnąć się na „Adama”. O świcie dołączy-
my”. Potem zwraca się do adiutanta:

— Wysłać gońca scout-carem na WPO.
Niech dowiedzie się o stan zdrowia „Toncia” i
Bogdana.

W dwie godziny później wraca scout-car
i gonić melduje:

— Panie pułkowniku, kapitan Dz. ewa-
kuowany do szpitala. Porucznik Bogdan Jó-
zefowski zmarł na głównym punkcie opatrunko-
wym o godzinie 23.05.

...O świcie rozpoczyna się generalne na-
tarcie na całym froncie Drugiego Korpusu.
„Czwartacy” ruszają o 5-tej z podstawy wyj-
ściowej. Dołączają na 156 do trzeciego szwa-
dronu i przegrupowują się. Pierwszy pójdzie
szwadron „Górala”.

Radiostacje pracują bez przerwy. Do-
wódca pułku jest na sieci dowodzenia pułku,

wydać ostatnie rozkazy, adiutant „trzyma”
kontakt z dowódcą natarcia. Obserwator ar-
tyleryjski ze swojego czołgu podaje dane do
pułku i prosi o wsparcie ogniowe. Po chwili
nad czołgami prześwisują pociski i wrywają
się głęboko w pozycje nieprzyjaciela. Potem
czołgi ruszają. „Góral” prowadzi swój szwa-
dron na nieprzyjaciela ze zwykłą sobie nieu-
straszonością, tak jak na Mass Albanetta,
pewnie, odważnie, w przeświadczeniu, że jego
natarciu nie się oprzeć nie może. Kpt. R.
idzie tuż za nim, jego czołgi ubezpieczają
„Górala” ogniem. Przechodzą przez 171.
Walą na 189. Ale tu nieprzyjaciół przysto-
wał główną obronę. Ściągnął pepance: samo-
bieżne działa 105 mm na podwoziach czoł-
gowych. Zaczyna się wściekła, zażarta walka.
Nawet trzeci szwadron dołącza z odwodu.
Walcą tylko czołgi, piechota likwiduje pozo-
stałe z tyłu grupy broniących się Niemców.
Jednemu z czołgów zrywa pocisk gasienicę,
w innym pęka dyferencjał i zaczyna się działo.
Nagle jeden z pocisków pepanc trafia wprost
w wieżę czołgu podchorążego Witka. Maszy-
na zaczyna płonąć. Byle tylko zdążyć wysko-
czyć, zanim ogień dojdzie do amunicji!

Ale Niemcy wiedzą, że ludzie z płonącego
czołgu, to łatwy łup. Seriami erkaemów wa-
lają po wyskakujących. Dwóch pada, dwóch
cudem jakimś unika śmierci. Wśród nich
podchorąży Witek. Świszczą nad uchem
wściekłe pociski!

— Jur! — woła — jesteś?!... — Szybko
rzuca okiem na towarzysza, na leżących koło
czołgu dwu pozostałych. — Jur! — woła prze-
rażliwie i biegnie do czołgu. I w tejże samej
chwili słyszy huk strasliwy. Ogień z czoł-
gu podszedł do amunicji... Witek, błady, le-
ży na ziemi, przy spalonym czołgu, bez sło-
wa, nie obchodzą go walka, pepance, nie, słu-
cha z jakimś histerycznym uporem, czy tam,
z czołgu nie odezwie się nikt. Słucha, bo
jeszcze nie doszło do jego świadomości, jesz-
cze nie może uwierzyć, że tam, w czołgu spa-
lił się żywcem jego przyjaciel!... Ale gdy
wreszcie nagle trafia to do jego świadomości,
gdy rozumie wszystko, poczynają jak małe
dziecko szlochać, bić pięściami o ziemię i wo-
łać rozpaczliwie przez ły:

— Jur!... Juur!... Juuur!...

...Walka trwa. Plutonowy M. nie myś-
li teraz o dziewczętach z Badija. Uwziął
się na działa nieprzyjacielskie. Na to samo-
bieżne 105 mm. Nie boi się niczego. Nawet
tego, że pepanc może zapalić i jego czołg. Raz
pod Ponticelli przyszło już wyskakiwać z pło-
nącego shermana. Aby uniknąć nieprzyja-
cielskich cekaemów, wpadli do pierwszej z
brzegu chaty. Wprost w gniazdo Niemców.
Ich było trzech ze schmeisserem, plutonowy
miał pistolet. Zanim Niemiec się zorientował,
wyrwał mu schmeissera i, usłyszawszy w dru-
gim pokoju głosy, wpadł na, z okrzykiem
„Haende hoch!” Dużo śmiechu było w pułku,
gdy załoga spalonego czołgu przyprowadziła
jeńców: jednego oficera i dwudziestu cze-
rech szeregowych.

Teraz plutonowy poleca ostrzeliwać zało-
gę nieprzyjacielskiego dział. Likwiduje je
w tym czasie, gdy cekaemy sąsiednich czołgów
„załatwiają” załogę drugiego dział. Niemcy,
tu i ówdzie odgryzając się ogniem, poczynają
się wycofywać. Zostają działa całe, nieuszkod-
zone, na chodzie... Pierwszy jest przy nich
plutonowy M. Jedno dział należy do niego!
„Góral” nadać do dowódcy pułku: „Wzięli-
my dwa nieuszkodzone działa SP”. „Odwro-
cić i po Niemcach!” — odpowiada ppłk. D.,
który znajduje się w tym czasie na innym
skrzydle.

Jest południe. Piechota zaczyna dołą-
czać do czołgów i pod ich osłoną ogniową
umacniać się na wzgórze. W trzech czołgach
zostało rannych trzech dowódców, miejsce
jednego z nich zajął podchorąży Witek. Z

zajadłą wściekłością strzela po stanowiskach
niemieckich. Na piersi schował zeszyt. Ja-
kimś cudem tylko niespalony, na zewnątrz wy-
rzucony w żelaznej szkatułce, pamiętnik Jura.
Plutonowy M. podnosi kłapę. Niemcy nie
strzelają już wcale po wzgórze.

— No, nareszcie można trochę odetchnąć
świeżym powietrzem!... — mówi! — Warto,
chłopy, powiadam wam, wrócić choć na kilka
dni do Kairu.....

I w tej że samej chwili tuż obok czołgu
pada pocisk nieprzyjacielski. Na szczęście nie-
wypała. Ale już ciężka artyleria nieprzyjaciela
bije po wzgórze. A po chwili przyłączają się
do niej pepance. Pada zabity podchorąży An-
drzej Kapończyński. Ledwie zdążył, ranny pod
Anconą, wrócić ze szpitala, a stało się...

Znow nasze czołgi zmuszone są wejść do
akcji i znow nieprzyjacieli milkną. Ale zaczy-
na kończyć się amunicja i paliwo. Na łącz-
ności walą radiofonogramy: „Zużyliśmy 75
procent amunicji i paliwa. Z rozkazu Czer-
wonego Bacy zorganizować transport z B2!”

Łatwo powiedzieć: „zorganizować”, —
ale jak wozy pójść po nocy, po zaminowa-
nych drogach? Ale nie ma rady. Trzyto-
nówki dojadą do 171, a tam ppor. D. na swoich
„stuartach”, którymi w dzień ewakuował ran-
nych i wozik saperów, powiezie amunicję i pa-
liwo na 189.

Zapada noc. Jeszcze w południe dowódca
oddziałów czołgowych, gen. Rakowski, otrzy-
mał żadaną wiadomość: „Jesteśmy na „Zbignie-
wie”. Później meldowali o swoich postę-
pach Krechowiacy: „120, 124, podnoża Monte
Schiantello”. Dwoma klinami wdarły się dwa
pułki pancerne na północ. Niemiec nie mógł
pozostać między nimi. Musiał się cofnąć,
ewakuując miasto S. Costanzo. Z samego ra-
na pójdzie pułk pancerny Dzieci Lwowskich
i, wyzyskując powodzenie Czwartaków, przejdzie
przez 189, a następnie, osłaniany ich o-
gniem, będzie posuwał się na zachód na Ce-
rasa i Piagge, aby wyjść na tyły nieprzyja-
ciela i odciąć mu drogi odwrotu i przejścia
przez Metauro. W tym samym czasie, gdy
piechota będzie mogła, dzięki sukcesowi Czwar-
taków, również pod ich osłoną ogniową, za-
jąć wzgórze Caminate, dominujące nad doli-
ną Metauro, na północ od 189.

Późno w noc radiostacje przekazują roz-
kazy:

„Tytan Dzieci Lwowskich dojdzie do
węzła dróg Celina raz, cztery Adam i miejscow-
ości Bremen — Barbara, Roman, Edward,
Maria, Edward, Nikodem — poczem skieruje
się na południowy zachód, na tyły ołów
przed zgrupowanie Bohusza...”

Muły pójść na północ od Zbigniewa i w
kierunku na Caminate...

...I nazajutrz nieprzyjaciół zostaje wzię-
ty między nacierającą z południa grupą ka-
walerii pancernej pod dowództwem gen.
Szyszko-Bohusza, a czołgi, usiłujące mu od-
ciąć odwrot, w tymże samym czasie, gdy
piechota na północ od 189 oczyszcza zupełnie
z nieprzyjaciela południowy brzeg rzeki
Metauro...

... W kilka dni później pułk „Czwarta-
ków” idzie do odwodu i podchorąży Witek
uzyskuje jednodniową przepustkę. Goli się,
wkłada zamaszowe, egipskie buciki, czysty,
święteczny french i „autostopem” jedzie do
Basi.

Basia wybiega na schody, zanim Witek
zdąży wejść do jej pokoju.

— Witeczku! Nareszcie! Tak się mar-
wiłam — i Basia ściera mu ręce. — Przecież
była ofensywa u was! No, najważniejsze,
żeś zdrow! Zaraz zrobię kawę na przymisie.
To moje koleżanki, znasz, prawda? — Iza, Dan-
ka... Więc opowiadaj, jak to tam było!... No,
co ci, Witeczku? Nie cieszysz się, że się widzi-
my znowu?...

Witek próbuje się uśmiechnąć, ale jakoś
nie wychodzi. Patrzy gdzieś przed siebie nie-
widzącymi oczyma i bez słowa podaje Basi
przywieziony ze sobą zeszyt.

— Co to? — pyta Basia i machinalnie
otwiera ostatnią zapisaną stronicę. W ką-
cie przyklepiona do kartki fotografia jasnowło-
sej dziewczyny, a pod nią napis: „Lilly”. A
obok: „Lilly ma zielone oczy i jasne włosy.
Nie tak, jak wszystkie Włoszki. Kiedy całuje...“
— Czyta Basia ostatnie zdania pamięt-
nika aż dochodzi do słów ostatnich: „Stąd do
Castelfidardo jest daleko — chyba tak sa-
mo daleko, jak z piekła do nieba”. Basia
podnosi oczy i patrzy pytająco:

— Nie rozumiem, co to ma z nami wspólne-
go? Zresztą powiesz mi potem. Teraz chcę
przede wszystkim usłyszeć, jak to tam było.
To musi być pięknie, bić Niemców i patrzeć,
jak wróg ucieka. Wyobrażam sobie huk ar-
mat, pędzące naprzód czołgi, żołnierzy, idą-
cych na bagnety... Zazdrościłam ci znowu w
tych dniach, Witku. Wojna, to piękna rzecz!...

A Witek ciągle milczy. Patrzy gdzieś
przed siebie. Nie Basię widzi, a czołg pło-
nący, nie słowa dziewczyny słyszy, a huk prze-
rażliwy...

— O tak — mówi, próbując się znowu
sztucznie uśmiechnąć. — Wojna, to piękna
rzecz... Tylko, widzisz, — dodaje, — z nad
Cesano do Castelfidardo jest czasem dalej
niż z piekła do nieba.

N O W O Ś Ć !

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” zaczęły wychodzić
polskie przekłady głośnej angielskiej serii
broszur politycznych
„OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS”
Jako dwa pierwsze numery ukazały się

Nr 1
D. W. BROGAN
Prof. Uniwersytetu w Cambridge

**AMERYKAŃSKA POLITYKA
ZAGRANICZNA**

Nr 2
IVOR THOMAS
Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?
Dalsze zeszyty w druku
Cena każdej broszury 50 milsov

ALEKSANDER JANTA

Niepowiedziane, niedopowiedziane...

Przyjęło się wśród marynarzy zdanie, że tylko człowiek, żyjący na morzu, potrafi o nim naprawdę pisać. Marynarze jednak, choć nie zawsze małowinni, są na ogół mało piszący. Conrad był przecież wyjątkiem nawet między Anglikami.

Śmierć w wiernej służbie na morzu, jaką poniósł porucznik Sopoćko, wydaje się w tym świetle szczególnie niezastapiona. Marynarę handlową od paru lat na szczęście wyręcza w tym zadaniu mówienia o sobie Arkady Fiedler. Od inwazji natomiast o jasnym spojrzeniu marynarzy zaczyna już pisać Janusz Laskowski. Co do mnie — przypadkowi jedynie zawdzięczaam zetknięcie się z tym światem naszych morskich i podmorskich wojsk. Bo tylko czysty przypadek zrzucił, że pierwszy mój kontakt z polską siłą zbrojną, po wydostaniu się z Europy Hitlera, miał miejsce w jednym z portów śródziemnomorskich, i to od razu z załogą łodzi podwodnej „Dzik”. „Dzik” w owe czasy był jeszcze „Warchlakiem”, który nie miał sposobności pokazania kłów, czyli, mówiąc językiem myśliwskim, szabli groźnego odyńca, jakim się potem okazał. Załoga złożona nie z żadnych wilków morskich, ale po prostu z odyńców także, przeważnie brodatych bardzo, jak na podwodniaków przystało, pod pokładem raczyła gościa gęstymi kolejkami „skocza” i skocznym, choć nie zawsze przyzwiołym, opowiadaniem swych przygód. Te przygody były zarówno morskie, jak i dotyczące rozkładania morale pewnych uroczych dam „z najlepszego towarzystwa” w przeróżnych portach Szkocji i nie-Szkocji. Podbojowy i bojowy charakter załogi wróżył niechybnie i zapowiadał bez pudła te wszystkie wyczyny, jakie „Dzikowi” pospołu z „Sokołem” wkrótce już miały zdobyć miano „The terrible twins” wód śródziemnomorskich. Nie mówiąc o tym, że nomen omen, czyli że dla „Dzika” nie mogło się obyć bez znacznej i cennej w jego służbie i jego przygodach, a pospolitej skąd inąd i mile widzanej „świni”.

Już wówczas jednak niejeden członek załogi miał za sobą „podwodną przeszłość” według najlepszej tradycji „Oria” i „Wilka”. Już doświadczył emocji ataków i obrony, wzruszeń pościgu i niebezpieczeństwa. Już kosztował w takim samym ciasnym zamknięciu, z którego perspektywy słuchać mi przyszło opowiadań o ich życiu i ich walce, tego spojrzenia oko w oko ostateczności, jakie się wiązać musi nieodzownie z ich życiem podwodnego kłusownika w poszukiwaniu zdobyczy i trwa w napięciu tego kontrastu skrajności: my albo oni.

Zejście do łodzi podwodnej to tak jak zejście do podziemia. Jest coś piwnicznego w jej atmosferze laboratorium, przyciska człowieka ten „niski pułap” i ciasnota wnętrza, w którym wygoda osobista załogi podporządkowana być musi zadaniu, z jakim ten skupiony w sobie i zagęszczony od środka kadłub, zawierający trzydziestu ludzi, zejdzie pod wodę, by spod niej dziać zaskoczeniem i podstępem. Ten brak wygód idzie tak daleko, że nawet świeże powietrze uważane tu bywa za luksus.

Palić we wnętrzu łodzi nie wolno. Niejeden młody nerwowiec po paru godzinach pierwszego zanurzenia myśli jednak o papierosie. Wiedzą o tym starzy, wyjadacze i dla kawału spytają: „Chciałbyś zapalić, co? No to sobie zapal, kapitan pozwala”.

Długo będzie próbować. W ciężkim, ubogim w tlen powietrzu ledwo zapłonie zapałka, ledwo rozzarzy się czubek papierosa i zaraz, gaśnie. Dym posiada smak gorzki, okropny — jedno takie zaciągnięcie się potrafi człowiekowi odebrać ochotę do papierosa na dłuższy czas.

Nocą, po wynurzeniu, przy dużej fali na mostku w wieżycze zalewa, że strach. Wracają z niego po służbie do środka łodzi przemoknięci do suchej nitki.

Opowiadają mi o tych szczegółach: — Panie kapitanie — mówił jeden, zaraz po pierwszym skosztowaniu tej przyjemności — ja proszę o przeniesienie do lotnictwa. Mnie nikt nie mówił, że w łodzi podwodnej jest tak mokro. Ja pod wodą chciałem słuchać, nie w wodzie.

— Pan logiki nie ma, takie rzeczy opowiadać cywilom lądowym — miesza się do rozmowy jeden ze słuchających.

Odwrocenie głowy niedbałe. — Czego nie mam, łobuzie? Chętnie mówią tym stylem, i, naciągając się wzajem warszawską gwarą Wiecha, zawsze skorzy są do płatania sobie figli.

Romantycznie brzmia dzieje jednej z przygód „Pioruna”, który zapędził się kiedyś na bardzo wzburzonym morzu, idąc w formacji „Home Fleet” pod brzegi Norwegii. Podchodzenie tego potężnego zespołu jednostek wojennych nocą, w bliskości baz nieprzyjacielskich, otulone było zupełną ciszą radiową. Każdy okręt dla siebie walczył ze złą pogodą, z rozszalałym morzem, z otaczającą ciemnością polarnej nocy. Gdzieś tam w przedzie sygnalizowano podobno „Scharnhorsta”! Fale zalewały nie tylko pokład. Jedna z nich przełaziła się aż do kabiny radiowej i zgasiła na chwilę kontakt „Pioruna” ze światem słuchawki, czekającej instrukcji. Trwało do-

brych parę minut, nim radio-operator przełączył się na stację zapasową, słuchając, czy mu z przestrzeni nie nadadzą sygnału zmiany. Ale cisza była ta sama, co przedtem. Więc „Piorun” szedł dalej tym samym kursem, w świadomości, że się znajduje ciągle w otoczeniu formacji „Home Fleet”. Trwało to parę godzin. Gdy wtem potworna wichura zerwała z łodzi ratunkowych sygnały świetlne, które na wodzie poczęły się palić. Spostreegli je czujni Niemcy, bo nagle „Piorun” został ostrzelany z bliskich przybrzeżnych baterii. Był już pod samym brzegiem Norwegii. Kapitan zdecydował się wówczas szukać kontaktu przez radio z resztą bojowej formacji. Po odpowiedzi dopiero zorientował się, że jest sam. W chwili bowiem, kiedy radio zalało kabinę, przyszedł rozkaz zmiany kursu, którego „Piorun” nie słyszał. I ani spostreżął się, że idzie dalej samotny, choć coraz bliżej wrogiego wybrzeża. Na własną rękę szukał spotkania z owym „Scharnhorstem”, którego obecność sygnalizowano. I ciągnął na pewną zgonę.

Obyło się tym razem bez wypadku i skończyło się na samym strachu. Ale przygody tej załoga „Pioruna” nie tak łatwo zechce zapomnieć.

Na każdym polskim okręcie prowadzona jest zresztą kronika takich wydarzeń, z których niejedno włosy na głowie jeży czytającemu. Zwałasza jeżeli do tego usłyszysz komentarz świadków. Inna rzecz, że ci właśnie silą się zawsze, aby wypadkom odebrać napięcie grozy. I zawsze skłonni są patrzeć na własne działania i własne przejścia pod kątem dobrego humoru.

Na „Błyskawicy” naprzykład bojowa przeszłość okrętu, który karierę zaczynał w Polsce, oraz wszystkie mniej lub więcej ważne incydenty nieprzerwanej służby w tej wojnie znalazły wyraz w formie zabawnych ry-

sunków i tekstów, rozmieszczonych na tablicy w oficerskiej messie.

Z afrykańskiego lądowania takie naprzykład historyczne zdanie, które przeszło do repertuaru okrętowych powiedzonek: „A w Bone, mówię ci — szkoda mówić”.

Jakąś nieznosną inspekcję kwituje okrętowy kronikarz parafrazą churchillowskiej sentencji: „Never in history have so few been inspected by so many so often”. Torpedy, miny, bomby — wszystkie niebezpieczeństwa i walki, tak jak je odnotowuje marynarz na własny użytek i ku pamięci przyszłych udziałowców, posiadają barwę śmiechu. Tak jakby chodziło o wspomnienie z wielkiej, wspólnej zabawy, której na imię wojna.

Blaski i nęde naszej marynarki, która piękną zapisała kartę udziału Polski w walce o wolność mórz i dalej służbę pełni, „nie pytając o cenę, nie targując się o warunki”, jak na szalonych, zawsze zdolnych do pokazania gestu Polaków przystało, zdobi niejeden dokument uznania, niejedne słowa hołdu z najdosłowniejszych ust. Ale nie znałem wymowniejszego dowodu marynarskiej przyjaźni polsko-royal-navy, jak ten, zapisany w kronikach „Błyskawicy”, tekst polskiego przemówienia jednego z angielskich oficerów, co z Polakami służył. Uparł się, że koniecznie po polsku powie. A że nie umiał ani w ząb po polsku, więc mu napisano tekst tego, co chciał powiedzieć. Odczytał to wprawdzie po angielsku i po wielu tęgich kolejkach, ale nikt ze słuchających nie wątpił, że oba języki, polski i angielski, są bardzo do siebie zbliżone.

„Panovia! Zaproshewem vas nar ten killeeshek z okazyee jay dish miea shoosti meashuntz moyago pobitoo nar tim okrentsia. Yestem pawen pojeevu dla vspaniawago douhar valkee vashay marinarkee. Nazdrovia”.

JAN BIELATOWICZ

CASSINO

Chylą się gwiazdy, chylą się nieba,
Całują otwarte groby.
Bóg się straszliwie na ludzi rozniewał
I zgarnął znad świata siedmioluk tęczyowy.

Upiorna zielen i maków czerwień
I nocy groza mylącej drogi —
Śmierć w martwej zastygła przestrzeni
Nad pospolitą rzeczą niekopanych mogił.

Kiedys tu święty Benedykt
Na skalnym pagórze ścigał niebo w dół
I może w ciszy celi słyszał Boży werdykt,
Że góra spłonie chwałą przez tysiączne groby.

Gdzieś tam północą chadza anioł ciszy,
Tu klasztor pęka od płomieni armat
I huk moździerzy słychać coraz bliższy,
Wysłany z piekieł kazamat.

Płoną ognie i dymy,
Z Casiliny
Patrole.
W śmiertelnym mozole
Płyną ku górze muły, muły, ludzie, ludzie.

EGGA VAN HAARDT

OBRAZ ARTYSTY

I ŚWIT

Ani nie mówiono wtedy, że gwiazda świeciła w te zimne dnie
na drodze królów szczodrych i wesołych pastuchów.
Ani o niepowszednich zdarzeniach, ani o bydle,
bo krzyczał z kondlem roczny brat, — ani o korycie.
Kolebka był mi kosz, ścielony sianem, pieluchami — barchan kaftanu,
smockiem wilgny płat, skąpa pierś matki.

II KAWIOR

Rosłam, uparty kiel piwnicznego kartofla. Rzeźbiły mnie blade podwórcza.
Jadłam ikrę śledzi i ślepe ryby, które drapią gardło.
Biedacy płodzą na wyrost, jak ryby, na tanie ręce, na dziewczki, na wojny.

III TRAF

Gdy powiedziałam, że będę artystką, był śmiech i wstyd, i łzy.
Więc wziął mnie na kolana pan nauczyciel, dał barwne kredki i biały zeszyt.
Z wdzięcznością wyrysowałam tum i kangura i dobrego pana nauczyciela.
Traf pokłócił tych, co już nie chcieli, z tymi, co nie chcieli jeszcze,
Smutek ksiąg — z miłością, co gotowa krasć. Postrzępił smyczkiem kaszlu
skrzypce płuc.

IV DZIEŃ

Sława. Wspominam was życzliwie, me lalki z gazet,
sznur skakanki, bieliznę z kradzionego kaftanu, a nade wszystko, ciebie,
strudzonej drogowskazie, krzyżu mój przydrożny.
Chętnie zagryzam dziś chlebem mój dawny kawior z śledziowej ikry.
Warto się rodzić w czepku, trzynastej z rzędu, nie licząc młodszych siostr.
Tak to z dawien dawna praktykujecie — ubodzy — lęk przed kresem rodzaju.

Z głosów angielskich o Polsce

Nakładem Johna Murray'a w Londynie ukazała się pięknie i bogato ilustrowana książka o osiągnięciach Polski w dwudziestoleciu niepodległości: „Poland's Progress. 1919—1939”. Książkę, którą redagował Michael Murray, poprzedził przedmową wybitny historyk angielski, Sir Ernest Barker. Przedrukujemy ją tu w niewielkim skróceniu.

Gdy Anglik słyszy o Polakach, na myśl przychodzi mu słowa „bohatercy” i „romantyczni”. Widzi obraz Wawelu, rycerski ryzsztunek, kitę i husarskie skrzydła — podziwiał je, być może, w jakimś muzeum; pamięta opowiadania o Polakach, których pełno było wszędzie, gdzie tylko w dziewiętnastym wieku walczone o wolność (jeden z nich wypłynął nawet na zmacone wody naszego czartyzmu). I Anglik pomyśli sobie: „Oto są wspaniali, świetni Rycerze Historii!” To prawda — Polacy są rycerzami, są „kawalerami” na wzór i podobieństwo naszych królewskich Stuartów. Warto może tu wspomnieć, że syn ostatniego naszego króla w dynastii Stuartów, kawaler de St. George, zwany „starym pretendentem”, w 1719 roku pojął za żonę Sobieską, a syn zrodzony z tego małżeństwa, „młody pretendent”, nosił imię: Karol Edward Kazimierz. Lecz w moim pojęciu Polacy są nie tylko rycerzami — są i purytanami. Jest jakaś purytańska domieszka w ich krwi i w powszednim, codziennym życiu Polacy umieją pracować nie gorzej od naszych starych angielskich purytanów. Zrozumiałem to dwanaście lat temu, gdy podróżowałem po Polsce, wzdłuż i wszerz, od Zakopanego na południu do Gdyni na północ.

Widziałem wiele „rycerskich” rzeczy w Polsce dwadzieścia lat temu — pomniki Sobieskiego, trofea z wojen tureckich, pamiątki bohaterów czynów i dawnej świetności królów polskich i szlachty polskiej. Jako stary nauczyciel historii muszę przyznać, że byłem tym wszystkim oczarowany. Ale żywe wspomnienie, które z Polski wywiozłem, to wspomnienie czegoś zgoła innego. To pamięć o ludziach w Polsce, pamięć o twardo, ciężko pracującym człowieku, w milczeniu porządkującym swój dom. To pamięć o wysiłku — przemysłowym, wychowawczym, leczniczym — kładącym podwaliny pod gmach, w którym w zdrowiu fizycznym i duchowym żyć miał cały naród polski: rolnicy, rzemieślnicy — wszyscy. Widziałem dwory wiejskie, byłem w wielkich majątkach ziemskich i widziałem przeżytki, pozostałe z czasów arystokratycznych latyfundi. Ale dużo więcej widziałem z życia chłopów. Żyli oni w warunkach, których bynajmniej nie mogłem uważać za złe (a byłem w zwykłej wsi). I dużo więcej widziałem z życia ludzi pracy: robotników i studentów w Warszawie, portowych robotników w Gdyni. Z dumą i radością piszę słowo wstępne do tej książki, mogę bowiem, jako naoczny świadek, potwierdzić w całej rozciągłości jej treść. Chciałbym opowiedzieć o niektórych rzeczach, które widziałem i których nigdy nie zapomnę.

Był w Warszawie Dom Akademicki; mieszkało w nim niespełna 2000 studentów w warunkach komfortowych i za opłatą tak niską, że mógł sobie na nią pozwolić nawet najbiedniejszy. Ten dom był przedmiotem mego wielkiego podziwu, tak się bowiem złożyło, że na kilka lat przed tym współdziałałem przy założeniu domu studenckiego dla jednej z naszych londyńskich wyższych uczelni; stąd też wiedziałem z doświadczenia, z jakimi trudnościami trzeba w tych sprawach walczyć. Widziałem świetną politechnikę, — życzyłbym sobie, żebyśmy mieli taką. Widziałem Państwowy Zakład Higieny, który, zdaje się, pracował znakomicie, szczególnie pieczołowicie troszcząc się o chłopów. Badałem sprawy wychowania i wyposażenia szkolnego. W tych sprawach mogę mieć własny sąd, ponieważ leżą one w zakresie mojej specjalności. Nie mogę zabierać głosu, gdy mowa o osiągnięciach przemysłowych i inżynierskich, lecz muszę przyznać, że miałem dla nich szczerą podziw, co warto jest tym więcej, że nikt mnie specjalnie nie oprowadzał, ani nie sugerował. A był to wielki podziw. Spacerowałem po olbrzymim moście Poniatowskiego w Warszawie, którego fotografię czytelnik znajdzie w książce, i mogę stwierdzić, że w moim kraju nie ma równie pięknego mostu. Byłem przez kilka dni w nowym porcie gdynskim, w którym wtedy już wrzała gorączkowa praca, — widziałem łuszczarnie ryżu, elewatory zbożowe i portowe żorawie w ciągłym ruchu. Miałem świeżo w pamięci podróży sprzed dwu lat po Stanach Zjednoczonych i rezultaty, osiągnięte w Gdyni, przypominały mi Amerykę. Nie widziałem wielu innych rzeczy i po dziś dzień żałuję, że ich nie widziałem. Nie widziałem wielkich tam wodnych, opisanych w książce. Nie widziałem — a powinienem był zobaczyć — domów mieszkalnych dla robotników. Nie widziałem salin w Wieliczce, ani kopalń węgla na polskim śląsku. Lecz widziałem dosyć, by wyciągnąć wnioski, którymi pragnę zakończyć słowo wstępne.

Pierwszy wniosek jest prosty, wspominałem już zresztą o nim. Wysiłek odbudowy, który widziałem, był dokonany przez naród dla narodu, przez całą ludność — dla całej ludności.

Drugi wniosek jest również prosty. Polska nie jest i nie może być krajem wyłącznie rolniczym. Polska jest krajem o gospodarstwie złożonym — przemysłowym i rolniczym.

Nie może być inaczej, jeśli Polska ma zachować swój byt. Gdy producent rolny nie ma zapewnionego rynku zbytu, złożonego z producentów przemysłowych, gdy nie ma komu sprzedawać — rolnictwo traci swą rację bytu, staje się beznadziejnie trzepocącą się kukłą. Nawet tylko ze względu na dobro swego rolnictwa, Polska musi być krajem przemysłowym. Wydaje mi się, że Polska rozumiała tę prawdę i usilnie starała się ją realizować w okresie między dwiema wojnami.

Polityka, ustawy konstytucyjne, nawet sprawy zagraniczne — to jeszcze nie wszystko. By móc wypowiedzieć sąd o życiu i twórczości kraju, trzeba się bacznie przyjrzeć jego polom i fabrykom, szkołom (przede wszystkim szkołom!), uczelniom i uniwersytetom, słowem całej aparaturze dla duchowego tworzywa. Ten egzamin Polska zdała. Polska żyła życiem pełnowartościowym i stawiała się pełnowartościowym narodem. A gdy danym jej będzie rozpocząć na nowo, — a danym jej będzie z pewnością — powróci do dawnej pracy. Znaczenie niniejszej książki jest dwójakie; jest ona opowiadaniem o tym, co Polska zrobiła dotychczas, i rękomią tego, co zrobi w przyszłości.

OPINIE ANGIELSKIE

Francja, widziana z Anglii

Widziałem dzisiaj film, który na pewno przejdzie do historii. Krótkometrażówkę: oswojonego Paryża. Technika filmów dokumentalnych jest dzisiaj tak udoskonalona, że nie było co pobrać nas porwać. Reporterzy filmowi zdali egzamin wojenny nie gorzej niż ich koledzy po piórze. Filmowano bitwy lądowe, morskie, powietrzne. Filmowano kampanie niemiecką w Polsce — jako przestrożę dla nieostrożnych, którzy mieliby zamiar opierać się Herrenvolkowi — i kampanię Ósmej Armii w Afryce — jako otuchę dla nekanej „blitzem” ludności Londynu. Były to filmy technicznie doskonałe i propagandowo bardzo skuteczne. Film o Paryżu jest także dobrze zrobiony, ale nie techniczna doskonałość tu waży. Film operuje podobnymi obrazami i podobnymi chwytami reżyserskimi jak tamte. Jak tamte, jest bardzo „życiowy” i realistyczny. Ale mimo to jest odmienny.

Odmienny jest faktem, że akcja tego filmu była nieprzemysłana, że była własnym, kapryśnym życiem przypadku. Oswojonego Paryża, złapane na gorąco. Emocje nie kontrolowane sztuka. Reporter był przypadkiem tam, gdzie rozegrało się historyczne zdarzenie. Przypadkiem był na Place de la Concorde, przypadkiem przed kościołem Notre Dame w chwili, gdy rozpoczęła się strzelanina. Przypadkiem stał w oknie, gdy rzucono granat na biegającego Niemca. Raniony żołnierz padł na ziemię. Parę łaskawych kul skróciło mękę konania. Jakaś kobieta podbiegała do trupa. Naprzód porwała jego karabin i naboje. Podaje je komuś. Potem podnosi Niemcowi głowę. Nie! Nie żyje. Kobieta wstaje i ucieka.

Takich migawek jest dziesiątki. Pulsują akcją jak krwią, ciekącą z ran.

Historia kocha się w fantastycznych analogiach. Gdy armada Sprzymierzonych wylądowała w Normandii, wielu ludzi zauważyło ten dziwny zbieg okoliczności, który kazał Anglikom wylądować tam, skąd 900 lat wcześniej wyruszył Wilhelm Zdobywca na podbój Anglii. Opat z Caen, chytry i ambitny Bec-Hellouin, został wówczas arcybiskupem Canterbury, a dwa wieki później — do których schroniła się obecnie ludność cywilna podczas oblężenia, — Abbaye-aux-Hommes i Abbaye-aux-Dames — także pochodzią z tamtych czasów i zostały ufundowane przez Wilhelma, księcia Normandii, późniejszego zdobywcę Anglii. A Bayeux, tak dobrze znane nam z depeš, było przed wojną słynne ze swoich arrasów, przedstawiających budowę floty inwazyjnej i dzieje wyprawy Wilhelma.

We wrześniu 1066 r. flota Wilhelma była gotowa, ale podobnie jak w 880 lat później, przesunięto datę inwazji. Wprawdzie o dwa tygodnie, a nie o 48 godzin jak tym razem, ale za to z tego samego powodu: burzy i nieprzychylnych wiatrów.

A na zakończenie analogii warto przypomnieć Polakom, że Wilhelm Zdobywca, zwany także William the Bastard, był nieślubnym synem księcia Normandii, Roberta Diabla, i pięknej Arletty, córki garbarza z Falaise. Jurny książę normandzki właśnie w Falaise zaczął zdobywcę Anglii. W Falaise, które do kart historii polskiej zapisał bohaterowie dywizji pancerniej Maczka.

Anglicy są mistrzami propagandy. Nawet angielskie *understatement* bywa często niegorszym trikiem propagandowym. Tym razem jednak brytyjskie *understatement* było złą propagandą, choć bardzo mądrą polityką.

Mam na myśli tę zadziwiającą skromność w podkreślanu zasług wojsk i dowództwa brytyjskiego podczas kampanii francuskiej. Gdy czyta się prasę amerykańską, wydaje się, że Anglików we Francji w ogóle nie ma. Nawet lektura prasy brytyjskiej nie daje wyrazu olbrzymiej roli, jaką angielskie wojska odegrały. Fotograficzne sukcesy amerykańskie — zdobycie Cherbourg, przełom w Bretanii, wyścig poprzez Francję, wkroczenie do Paryża a teraz inwazja Niemiec — sprawiły, że gros podziwu przypadło w udziale Amerykanom.

W rzeczywistości udział Anglików był wcale poważny. W pierwszej, inwazyjnej i najtrudniejszej fazie, większość wojsk i spadochroniarzy stanowią Anglik i Kanadyjczy. W drugiej części bitwy normandzkiej Caen — oś całej akcji — zdobywane było przez Brytyjczyków. Pod Falaise walczyły wojska angielskie, kanadyjskie i polskie. I tu — pod Caen i pod Falaise — rozgromiono armię niemiecką. Tu, a nie w Bretanii czy pod Paryżem. Ale to nie wszystko. Dowództwo wojsk Sprzymierzonych we Francji było w ręku Montgomery'ego. Montgomery'ego zatem zasługa jest zarówno Caen i Falaise, jak i przełamanie się armii gen. Pattona. Strategia tej bitwy o Francję jest niepodważalna.

Wobec skąd ta skromność i powściągliwość Anglików? Jest to niewątpliwie dobrze przemysłana polityka. Ameryka jest przed wyborami. Anglia potrzebuje Ameryki na dziś i po wojnie. Amerykanie są narodem młodym, więc dlaczego nie dać im tej satysfakcji, która młodym narodom daje zwycięstwo. Anglia miała już dość zwycięstw w swojej historii, a prasa angielska jest dostatecznie zdyscyplinowana, aby każdą politykę narodową respektować.

Wielkie rzeczy działy i dzieją się we Francji. I choć „Opinie angielskie” nie są właściwszym miejscem na podejmowanie spraw francuskich, to jednak trudno je pominąć milczeniem choćby dlatego, że sprawa Francji pasjonuje Anglików nieporównanie bardziej niż nawet sprawa Niemiec. Składa się na to szereg powodów. W pierwszym rzędzie wzajemny antagonizm historyczny. „*Perfidie Albion*” nie jest sloganem współczesnym, a historia stosunków anglosasko-francuskich jest nie mniej burzliwa niż historia innych sąsiadujących z sobą państw europejskich. Antagonizm bywa bardzo poważnym powodem zainteresowania, ale są ważniejsze. Instynktowne u Anglików pragnienie stworzenia nowej równowagi sił. Teoria równowagi sił — oś dotychczasowej polityki angielskiej — przeszła Anglikom w krew, a takich atawizmów politycznych trudno się wyżyć. Z początku wierzyli Anglikowie w koalicję anglo-amerykańską, która mogłaby stworzyć zbawienną przeciwwagę dynamicznej potęgę rosyjskiej. Jednak wielu Anglików obawia się, że Ameryka i tym razem nawali. W takim razie koalicja anglo-francuska byłaby wyjściem z sytuacji. Trzecim kluczem do zainteresowań angielskich Francją jest doświadczenie z bombami latającymi. Jest ono w zbyt świeżej pamięci, aby praktycz-

ność Anglików nie miała wyciągnąć zeń wniosków. Bomby latające, może bardziej niż cokolwiek innego, uświadomiły Anglikom konieczność „silnej i przyjaznej” Francji.

To zainteresowanie Francją nie jest jeszcze skonkretyzowane. Nie ma w nim jeszcze polityki. Anglikowie zdają sobie sprawę z tego, że Francja przechodzi wielkie przemiany. Przytłumione są one jeszcze koniecznością wojenną, życzliwą ale obcą okupacją wojsk amerykańsko-brytyjskich i, *last but not least*, głodem i wycieńczeniem. Ale coraz wyraźniej rysuje się oblicze polityczne Francji. I rzecz najważniejsza. Wygląda jak gdyby ten kraj Wielkiej Rewolucji szedł na rewolucję. Gaulliści, których podejrzewano o faszyzm, dogadali się jakoś szybko z F.F.L., w których dopatrywano się komunizmu. Starzy zawodowi politycy zniknęli gdzieś w zapomnieniu czterech lat okupacji. Wypłynęli ludzie nieznani i... młodzi. Także nowum w polityce francuskiej.

Kollaboracjonizm magnatów przemysłu i pieniądza uczynił wywłaszczenie i upaństwowienie wielkiego przemysłu rzeczą łatwą i niesporną, a skrajni lewicowcy — może pod wpływem rosnącej fali patriotyzmu — poszli na kompromis.

Ten stan przejściowy potrwa jeszcze jakiś czas. Chaos, wywołany okupacją niemiecką i podziałem Francji, akcją wojenną (zwłaszcza zniszczeniem dróg kolejowych i taboru) i czystką polityczną, nie może rozwiązać się przez noc. Ale właśnie ten okres kielkowania nowej Francji jest bardzo pouczający i bardzo ważny. Wypływają nowe twory polityczne i społeczne. Do głosu przechodzą nowi ludzie.

Jedno nazwisko rozbłysło już dość jaskrawym światłem na firmamencie politycznym Georges Bidault, przywódca ruchu podziemnego, a obecnie minister spraw zagranicznych. Przed wojną był profesorem słynnego Lycée Louis le Grand w Paryżu i *free lance* w dziennikarstwie. Jego artykuły, drukowane w lewicowo-katolickiej „*L'Aube*” i studia, ogłoszone w „*L'Europe Nouvelle*”, były dobrze znane w przedwojennym świecie publicystycznym. Nie wiadomo jednak, że ten świetny historyk i teoretyk jest także pełnym energii człowiekiem czynu. Przed wojną był chrześcijańskim demokratą. Czym jest dzisiaj — zobaczymy. Lata konspiracji i czynu nie przeszły bez śladu we Francji. W myślącej, inteligentnej Francji.

A. B. C. A.

Jednym z najciekawszych doświadczeń tej wojny i takim, które służy nie tylko podczas wojny, ale służyć będzie po wojnie, jest ABCA (*Army Bureau of Current Affairs*). W naszym górnolotnym słownictwie wojskowym nazywa się to biurem „kultury i oświaty”. Są jednak bardzo zasadnicze różnice pomiędzy jednym a drugim. Różnice nie tyle organizacyjne, ile różnice podejścia, nastawienia... ducha. Tak jest, ducha!

ABCA wzięła sobie za motto powiedzenie Cromwella „Give me the man, who knows that for which he fights and loves that which he knows” („Dajcie mi człowieka, który zna to, o co walczy i kocha to, co zna”). Do kształcenia żołnierza podchodzi jednak w sposób nie bardzo uświęcony tradycją żołnierską. W cytowanym już w „Opiniach angielskich” pamiętniku Hodsona p. t. *Home Front*), znajdujemy następujący opis ABCA w akcji. „Omgadaj byłem w sali, w której około stu oficerów i żołnierzy oraz parę kobiet z „Army Pay Corps” pilnie pracowało nad korespondencją i księgami. Było około pół do dwunastej rano. Nagle na dany znak przerwano pracę i tych stu ludzi podzieliło się na cztery grupy i rozpoczęło dyskusję o bieżących sprawach politycznych i o planach. Jedna grupa dyskutowała o przebudowie miast, druga — o Imperium Brytyjskim, trzecia — o kampanii libijskiej, a czwarta o nas i o naszych amerykańskich sprzymierzeńcach. W każdej grupie przewodniczył porucznik. W parumimutowym przemówieniu krótko szkiełwał zagadnienie, poczem wzywał ludzi do dyskusji. Jego zadaniem było bezstronnie przewodniczyć obradom. Po 40 minutach dyskusji wszyscy wracali do swoich ksiąg”.

Nie wyklada się ludziom gotowych, państwowotwórczych teorii, nie narzuca się im „blagonadziennych” formulek. Daje się im temat i każe się na ten temat dyskutować. Swobodnie, bez przymusu i bez... represji, jeśli oficerowi nie spodobą się coś, co zostało powiedziane. Bardzo często żołnierze (i żołnierki) wybierają sobie sami temat.

Dyskusje toczą się głównie o problemach powojennych. Ten temat narzuciło przemówienie zainteresowanie Brytyjczyków. Cztery wolności

¹⁾ Por. „W Drodze” nr. 9 (27).

WŚRÓD KSIĄŻEK

PROBLEMY POKOJU

Problems of the Peace by Wilson Harris. Cambridge, Cambridge University Press, 1944.

Wilson Harris, redaktor znanego tygodnika „Spectator”, jest konserwatystą. To stwierdzenie jest dlatego ważne, że problemy pokoju widzi oczami konserwatysty. Oprócz granic nie się w najlepszym ze wszystkich światów nie zmieni albo zmienić się nie powinno! Gdy uzmysłowimy sobie bodaj tylko przewrót, jaki niemiecki podbój Europy zostawi po sobie w spadku, i tysiączne problemy, które wyrosną, gdy centralizacja finansowa i gospodarcza w Berlinie się nagle skończy, pozostawiając po sobie jakiś dziwny twór, który nie będzie ani kapitalizmem, ani socjałizmem, ale tragicznym, niedonoszonym płodem niemieckiej megalomanii, to takie podejście do problemów pokoju wydaje się nam bardzo powierzchowne i niewystarczające. Na miarę tej wojny skala problemów, które omawia Harris, jest bardzo mała.

Harris omawia sprawy granic Niemiec, reparacji, Ligi Narodów i zbrodniarzy wojen-

nych. Pomija zupełnie sprawy gospodarcze i ustrojowe. Bardzo rzeczowo traktuje sprawę granic polsko-rosyjskich i związanych z tą sprawą problemów. W książce śmiejeł i bardzo otwarcie mówi o sprawach, których ze względów politycznych prasa angielska — a więc także „Spectator” — na ogół nie porusza.

Sprawę Niemiec traktuje dość pobieżnie, choć nie bawi się w lewicowy sentymentalizm wobec „dobrych Niemców”. Nie rozumie np. dlaczego uważa, że Niemcy muszą mieć skromną armię. Argument, że „dla utrzymania porządku wewnętrznego”, jest nieprzekonywujący. Mam wrażenie, że Harris nie chce postawić kropki nad „i” tam, gdzie ta kropka musiałaby się znaleźć na lewo od jego ideologii.

Mimo tych zastrzeżeń mogę książkę polecić. Czytelnik znajdzie w niej wiele ciekawych problemów, dobrze i czytelnie przedstawionych. A dla pełni obrazu i tak jedna książka nie wystarczy!

hsd

ZZA KULIS PROPAGANDY NIEMIECKIEJ

Countess Waldeck. Meet Mr. Blank, the Leader of To-Morrow's Germany. Londyn, Putnam, 1944.

Propaganda niemiecka jest orkiestrowana wspaniale. Książka hrabiny Waldeck jest jednym z klasycznych przykładów. Na pozór jest to swoisty reportaż o Niemczech współczesnych, o wybitnych ich przedstawicielach, wszystkich znanych autorce osobie, którego celem jest ustalenie, z kim Sprzymierzeni powinni pertaktować, by zapewnić stały pokój — oczywiście nie w interesie Niemiec, a w interesie Europy.

De facto książka ma cel podwójny. Przede wszystkim pragnie zdyskredytować ideę, że przyszłe rządy Niemiec należy oddać antyhitlerowskiej lewicy. Autorka tłumaczy niebezpieczeństwo bolszewizmu, tłumaczy, że socjalistyczny przywódca Niemiec są równie nacjonalistyczni, jak hitlerowcy, że mają dużo wspólnego z hitlerowcami. W czym, zresztą, jest dużo prawdy. Dalej tłumaczy, że właśnie przez zawarcie pokoju z lewicą niemiecką w r. 1919 dało się atut przeciw pokojowi, że jedynie prawica będzie mogła przyjąć „surowe” warunki. I potem przedstawia swych kandydatów na rządy Niemiec. Delikatnie napomina, że syn Kronprinza, Ludwik Ferdynand, jest dobrym demokratą. Obiecuje, że armia już nigdy nie da się nabrać na nowego Hitlera. Twierdzi, że urzędnicy nigdy nie byli hitlerowcami i że są niezbędni i wysuwa na czoło Gaussa i sekretarza Hitlera, Meissnera, który jakoby „miał wpływ dobroczynny na politykę europejską za czasów Hindenburga” i

Karty Atlantycznej zapaliły wyobraźnię. Jednak w pytaniach żołnierzy te wolności Karty Atlantycznej są jakoś bardziej przyziemne, bardziej rzeczowe. „Czy zatrzyma się po wojnie ograniczenia żywności?” „Jak rozwiąże się problem mieszkaniowy?” „Czy będzie praca dla wszystkich?” „A jeśli nie będzie pracy, to czy zatrzyma się nas w wojsku?”

Interesuje także polityka zagraniczna, choć w mniejszym stopniu. „Co będzie z Niemcami?” „Czy znowu pozwoli się na to, aby im to uszło na sucho?” Żywo wypytują się o aktualia wojskowe i polityczne. O sytuację na froncie. O nowe typy samolotów. „Co robi się, aby życie żołnierzy uczynić mniej nudnym i monotonnym?”. Mnóstwo pytań o Rosji. To jest olbrzymia kopalnia zainteresowań.

„Pewien młody oficer Commandosów omawiał ze swymi ludźmi tak drażliwe sprawy, jak antysemityzm, małżeństwo na próbę i religię”.

„Co 14 dni ABCA wydaje dwie broszury, jedną o sprawach wyłącznie wojskowych, drugą o sprawach bardziej ogólnych. Ostatnia broszura miała tytuł: *What Price Victory?* Omawia ona morale rosyjskie, niemieckie i angielskie. Opisuje wolność, która nie jest frazesem poetyckim, ale rzeczą pierwszej potrzeby szarego człowieka. Mówi, że nasze ukochanie brytyjskiego sposobu życia nie oznacza, że jesteśmy bez reszty zadowoleni z brytyjskich cnót i urządzeń. Wspólnym celem wszystkich Brytyjczyków jest naprawienie po wojnie błędów, które zbyt długo istniały w przemyśle, w naszych mieszkaniach, w służbie zdrowia, w ubezpieczeniach emerytalnych, w klasowości naszego szkolnictwa i t. d.”.

„Jest wiele szczerości w tych broszurach i wydaje się, że odpowiadają one żołnierzom. Ludziom nie mówi się, w co mają wierzyć, lecz daje się im szereg informacji i wzywa się ich do stawiania dalszych pytań i do dyskusji”.

Powyższe cytaty z książki J. L. Hodsona pragną zasugerować czytelnikowi porównanie. Ale porównanie szczerze i nie zakłamane. Bez patosu i bez świętego oburzenia. Bo takie porównanie dopiero doprowadzić może do zrozumienia, skąd się bierze angielskie morale. To morale, które można światu postawić za wzór.

H. S. Dominik.

PROCES PRZESZŁOŚCI

K. Zilliacus. The Mirror of the Past. Londyn, Gollancz, 1944.

Autor tej książki jest typowym przedstawicielem angielskiej lewicy intelektualnej. Obywatel brytyjski, ale z pochodzenia Finn, syn jednego z przywódców fińskiego ruchu rewolucyjnego, blisko związanego z działaczami P.P.S'u, znający dobrze szereg języków, między innymi rosyjski i polski, Zilliacus przez lat osiemnaście był urzędnikiem Ligi Narodów. I z tego tytułu jest jednym ze speców lewicy od spraw zagranicznych.

Książka jego jest pomyślana jako oskarżenie wszystkich rządów wszystkich państw w wieku XX, jako oskarżenie kapitalizmu. Zdaniem Zilliacusa wojna lat 1914—1918 była wojną czysto imperialistyczną ze stron obu. „W sprawach zagranicznych Francja i Wielka Brytania były rządzone tak samo autokratycznie i kłamliwie jak Rosja carska i Niemcy cesarskie”. Podczas konferencji pokojowej jednym smartwieniem była walka z bolszewizmem. Poza tym pokój podktywały interesy reakcji i kapitalizmu. Mogło być inaczej, gdyby Sprzymierzeni nie osiągnęli pełnego zwycięstwa, gdyż wtedy robotnicy wzięliby w swoje ręce zawarcie pokoju. Tak jak się stało, pokój nie był do utrzymania, bo był pokojem zemsty. Stąd Hitler.

Książka mówi o przeszłości. Ale idzie jej o przyszłość. Zilliacus zastrzega się co prawda kilkakrotnie, że obecna wojna nie jest imperialistyczna, że należy zupełnie zgnieść Hitlera i hitleryzm.

Ale w przedmowie Michael Foot, były redaktor „Evening Standardu”, który jest współautorem „Guilty Men” i autorem „The Trial of Mussolini”, zdradza, o co idzie, gdy pisze: „Jeżeli całą winę można będzie przypisać narodowi niemieckiemu, jeżeli będzie można zrobić z Niemców jedynych kozłów ofiarnych za katastrofę, jedynych sprawców Armageddonu, to nie tylko partia konserwatywna wyjdzie z sądu opinii publicznej uniewinniona, ale będzie uniewinniony i cały przedwojenny system międzynarodowy. Wtedy ci, co wierzą w politykę siły, będą mogli się bawić, jak chcą”.

Tak, idzie o to, by biedne Niemcy nie zostały zbyt skrzywdzone, bo wszyscy przecież jesteśmy winni.

Znamy tę tezę. Jest to teza t. zw. intelektualnej lewicy angielskiej, teza prof. Laskiego, teza tygodnika „New Statesman and Nation”. Ale, na szczęście, nie jest to teza Labour Party. Masy robotnicze Wielkiej Brytanii i ich przywódcy widzą rzeczywistość jaśniej od „uczonych w piśmie”.

cep.

cep.

Z PRASY OBCEJ

Niemieckie plany nowej wojny

Sierpniowy zeszyt nowojorskiego miesięcznika „The American Mercury” przynosi artykuł na temat niemieckich planów nowej wojny „German Plans for the Next War”. Autor jego, Henry C. Wolfe, był swego czasu członkiem hooverowskiej komisji w ZSRR. Jest on specjalistą od niemieckiej polityki zagranicznej, autorem licznych artykułów na jej temat w książce o „niemieckiej ośmiornicy” — „The German Octopus”. W artykule pisze on:

„Hitlerowcy w planach swych uwzględnili możliwość klęski wojennej. Jeszcze na lata przedtem, zanim Hitler napadł na Polskę, zastanawiali się oni nad tym, co zrobić, jeśli ich armie, samoloty i łodzie podwodne zostały pobite. Ich dalekosiężnym programem opanowania świata klęska wojenna w drugiej wojnie światowej jest tylko tymczasowa. Jest to epizod, kończący jeden etap długiej, wytrwałej kampanii. W wielkiej strategii hitlerowskiej ostateczne zwycięstwo może przypaść w udziale innemu pokoleniu.

Hitlerowcy liczą na to, że nawet klęskę wojenną potrafią obrócić na swoją korzyść... Osiem lat temu słyszałem, jak Erich Koch, gauleiter Prus Wschodnich, przepowiadał kampanię hitlerowską: „Pobjemy was w taki czy inny sposób, — ostrzegali mnie, — jesteście w wojnie z waszą burżuazją cywilizacją. Metody, jakich użyjemy, zostaną poddyktowane okolicznościami. Raz możemy walczyć z wami na polach bitew, kiedy indziej będzie to wojna idei. Być może, że będziemy ponosić klęski, a wy — odnosić zwycięstwa. Albo też będzie wam się *zdawało*, żeście je odnieśli. Ale nasza wola jest silniejsza od waszej. I ostatecznie rozbijemy was!”

Siedzieliśmy w biurze gauleitera w Królewcu. Pan Koch nie owijał w bawelne hitlerowskich zamiarów. Tak, być może, że on i jego koledzy przegrają w trakcie wojny z wrogami Niemiec. Führer, Himmler, Goebbels — wszyscy czelowi hitlerowcy wzięli to pod rachubę. Ale, — twierdził on, — hitleryzm jako wiara i praktyka życia może poczynić takie postępy w Rzeszy i w sąsiadujących krajach, że nawet przynajmniej klęska wojenna nie potrafi go zlikwidować.

W rok później rozmawiałem w Berlinie z Alfredem Rosenbergiem, dyrektorem Sekcji Spraw Zagranicznych w partii hitlerowskiej. Dr Rosenberg nie był tak szczerzy jak Herr Koch. Był on uroczyście i mistyczny. Kiedy pod koniec długiego wywiadu napierałem na niego, aby mi powiedział, jak Niemcy mogą zwyciężyć, odpowiedział: „Możemy zniszczyć wraz z nami naszych nieprzyjaciół. Jeśli przegramy, klęska nasza pociągnie całą Europę w przepaść razem z nami!”

Amerykanie i Brytyjczycy powinni zdawać sobie sprawę z tego dalekosiężnego spisku hitlerowskiego, mającego na celu zamienienie klęski wojennej w ostateczne zwycięstwo. Jest to część programu przekształcenia Europy w ten sposób, aby odpowiadała ona hitlerowskiej polityce gospodarczej, społecznej, politycznej i wojskowej. Hitlerowcy zrobili już tu zastraszające postępy. Popelnilibyśmy tragiczny błąd, gdybyśmy przypuścili, że zabijając Hitlera i jego towarzyszy, ucinamy głowę ostatecznemu hitlerowskiemu zwycięstwu. To jeszcze nie wystarczy.

Po pierwsze, hitleryzm jest w wojnie z t. zw. światem kapitalistycznym. Być może, iż w obozie demokratycznym znajdują się jeszcze konserwatyści na tyle tęp, iż widzą w hitleryzmie tamę przeciwko komunizmowi. Powinni oni zrozumieć, iż hitleryzm sprzeciwia się również fanatycznie jak bolszewizm indywidualistycznej gospodarce kapitalistycznej; a być może, nawet i fanatycznie, jeśli weźmiemy pod uwagę ostatnie nacjonalistyczne przesunięcia w ZSRR. Według Ericha Kocha konflikt między Rosją a Niemcami „*byłby wojną domową w świecie totalitarnym*”. Jeśli mógł być jakiś margines wątpliwości, nie ma go dzisiaj po tegorocznym pierwszomajowym przemówieniu pana Goebbelsa z jego beczceremonialnym oświadczeniem, że „antykapitalistyczna ofensywa zostanie na nowo podjęta w pierwszym dniu pokoju”.

Narody demokratyczne powinny się starannie wystrzegać tego błędu uważania antykapitalizmu za wrogość jedynie wobec ciężkiego przemysłu i wielkich przedsiębiorstw. Jest to nawet coś więcej niż wojna przeciwko prywatnym przedsiębiorstwom.

wom. Jest to wojna z całym demokratycznym sposobem życia. Kapitalizm w oczach hitlerowców oznacza liberalizm i indywidualizm. Hitlerowcy są zdecydowani znieść go. I przebyli już w Europie długą drogę w tym kierunku. Ich główną ofiarą jest klasa średnia.”

Systematyczny rabunek, przenoszenie fabryk z krajów okupowanych do Niemiec, niszczenie przy wycofywaniu się wszystkiego, co się tylko da — to sposoby wprowadzenia tego planu w życie. Ich celem jest z jednej strony zniszczenie klas średnich kontynentu europejskiego, z drugiej zaś — tak zupełne zniszczenie gospodarcze krajów, sąsiadujących z Niemcami, żeby nawet na wypadek klęski niemieckiej potencjał gospodarczy tych krajów był niższy od potencjału gospodarczego Rzeszy.

„Mówią, iż gen. von Stuelpnagel, komendant wojskowy okręgu paryskiego, przedstawił tę sprawę w następujący sposób: „Zdobycie panowania nad światem będzie musiało być dokonywane etapami, zasadniczą jednak rzeczą jest, aby koniec każdego etapu przyniósł nam potencjał gospodarczy i przemysłowy wyższy niż u naszych nieprzyjaciół”.

Temu celowi służą też masowe przenoszenia ludności. „Idzie o stworzenie obszarów solidnego Germanentum, któreby ochraniało Rzeszę przeciwko „niższemu” rasom. I co być może jest najważniejsze, ma to na celu osłabienie jednolitości etnicznej krajów podbitych.

Wygłodzenie — twierdzą hitlerowcy — jest również skuteczną bronią wojenną co karabin maszynowy — i tańszą. Droga przemysłowej kampanii wygłodzenia podminowała oni zdrowie nadchodzącego pokolenia krajów okupowanych. W niektórych krajach, znajdujących się pod okupacją niemiecką, gruźlica wzrosła aż o 60 procent. Szeroko rozpowszechnione są: krzywica, anemia i inne choroby, związane z niedożywieniem.

A z drugiej strony młodzież niemiecka jest najlepiej żywiona i najlepiej fizycznie trenowana z całej młodzieży krajów walczących na kontynencie... Droga diabolicznej „polityki depopulacyjnej” Niemcy zmniejszyli przyrost ludności w krajach okupowanych. Blisko dwa miliony — na przykład — żołnierzy francuskich od czterech lat znajduje się w obozach niemieckich. Ludzie ci, gdyby wrócili do domów, mogliby być ojcami dzieci francuskich. Miliony potencjonalnych francuskich, polskich, belgijskich, holenderskich, norweskich, serbskich, greckich i rosyjskich ojców zatrzymanych w Niemczech jako robotnicy, pracujący na robotach przymusowych. W okupowanych krajach słowiańskich hitlerowcy starają się jak tylko mogą, rozdzielać małżeństwa... Uważają oni, iż ta polityka „depopulacyjna” będzie miała za kilka lat bardziej decydujące rezultaty, niż wszelkie bitwy, jakie mogą przegrać z siłami Narodów Zjednoczonych.”

Wreszcie, Niemcy bardzo starannie studiują w krajach okupowanych technikę armii podziemnych, aby ją móc zastosować u siebie: „Każda z armii podziemnych uczy się na własną rękę w twardej szkole doświadczenia. Ale z każdego okręgu, na którym operują armie podziemne Narodów Zjednoczonych, ludzie Himmlera przesyłają swemu szefowi szczegółowe raporty. Pewną ilość fanatyków spośród młodzieży hitlerowskiej przesługułowali do nieprzyjacielskich ruchów podziemnych. W rezultacie Gestapo ma lepszą ogólną orientację w metodach walki podziemnej niż jakakolwiek inna organizacja. Jeśli samym hitlerowcom przyjdzie zejść w podziemia, wszystkie te informacje będą na ich usługi”.

[Wszystkie te plany opierają się na założeniu, że państwa demokratyczne nie dadzą sobie rady z problemami powojennego świata, że nie potrafią go zorganizować, że przeważą w nich wewnętrzne rywalizacje.

„Jedność państw demokratycznych — konkluduje autor — ich wiara w wolność mogą zwyciężyć plany Kocha-Rosenberga. Trzeba jednak, aby demokracje uzbrojone były w wiedzę o zamiarach swoich wrogów. Nie wolno, aby zwyciężyła pokusa niedoceniania czy ignorowania jego siły, nawet i wtedy, kiedy zwycięstwo militarne zostanie odniesione”.

Projekt podziału Niemiec

Nowojorska „Life” w numerze z dn. 24 lipca b. r. przyniosła sensacyjny artykuł piora Sumner Wellesa, byłego podsekretarza stanu dla spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, występującego z projektem podziału Niemiec. Artykuł ten jest skróconym rozdziałem dawno zapowiadanej — i prawdopodobnie już wydanej — książki Sumner Wellesa, poświęconej zagadnieniom politycznym świata powojennego „Time for Decision”.

„Jak wygląda — pyta się Sumner Wells — kartoteka narodu niemieckiego od czasu, gdy Bismarck pierwszy poszedł na politykę pruskiego militaryzmu?”

Agresja przeciwko Danii w r. 1864.
Agresja przeciwko Austrii w r. 1866.
Oparta na fałszerstwie i przekręceniu prawdy agresja przeciwko Francji w r. 1870.

Próba wszczęcia nowej wojny przeciwko zbyt szybko przychodzącej do sił Francji w r. 1875, której zapobiegł jedynie wspólny nacisk brytyjski i rosyjski.

Stale ponawiane próby między tym rokiem a rokiem 1906 osłabiania Francji drogą podstępnej mieszaniny się w jej wewnętrzne sprawy, tak jak w czasach afery Dreyfusa, i wreszcie ultimatum, powstrzymane jedynie przez konferencję w Algeirach.

Incydent w Algadir, który sprawił, że przez długie miesiące Europa stała nad przepaścią powszechnej wojny.

Polityka politycznych i wojennych zdobyczy, której nieuniknionym skutkiem był wybuch pierwszej wojny światowej w r. 1914.”

Skoro zatem Niemcy od momentu swego zjednoczenia były stałym powodem wojen w Europie, — dowodzi dalej Sumner Wells, — jedynym sposobem zabezpieczenia pokoju jest rozbić Niemiec na drobniejsze państwa. W Niemczech istnieć muszą tendencje separatystyczne: Bawaria była przez

tysiąc lat niezależnym państwem; pod pruską kontrolę dostała się dopiero w r. 1870, a bez reszty została włączona do zuniifikowanej Rzeszy dopiero przed dziesięć laty. Nieprawdą jest, jakoby małe państwa niemieckie nie mogły się gospodarczo utrzymać. Historia świadczy o czymś odwrotnym. Przesztanę zaś one być wtedy niebezpieczeństwem wojennym dla sąsiadów.

„Po wyłączeniu Prus Wschodnich Niemcy powinny być podzielone już w okresie zawieszenia broni na następujące trzy oddzielne państwa, których granice wyznaczają przede wszystkim czynniki kulturalne, historyczne i gospodarcze.

1) Nowe państwo południowych Niemiec, obejmujące dawniej suwerenne państwa: Wirtembergię, Baden i Hesse-Darmstadt razem z tymi rejonami, które zgrubszą można określić jako Nadrenię i Zagłębie Saary. Trzeba podkreślić, że naród, który żył w granicach tego państwa, byłby w większości katolicki.

2) Państwo, składające się z następujących niemieckich okręgów: Górna Hesia, Turyngia, Westfalia, Hannover, Oldenburg i Hamburg, oraz z drobnych okręgów, do nich przylegających.

3) Państwo, składające się z następujących jednostek politycznych: z Prus (od których odjęto Prusy Wschodnie), Meklemburgii i Saksonii”.

Sporo uwagi poświęca Sumner Welles sprawie Prus Wschodnich. Uważa on, że ponieważ granica przedwojenna zagrażała bezpieczeństwu Polski, powinny one przypaść Polsce, a ich ludność niemiecka winna być wywieziona do Niemiec. Szkoda jednak, że widocznie zląkszy się tu „radikalizm” swego rozwiązania, dowodzi równocześnie, że w charakterze „odszkodowania” część polskiego Pomorza — z wyłączeniem jednak Gdańska i Gdyni — powinna przypaść nowostworzonemu państwu prusko-meklembursko-saskiemu.

Sam jednak podział Niemiec na różne państwa

wa nie wystarczy. Muszą one jeszcze być przez dłuższy czas okupowane.

„Teraz, kiedy Niemcy zostaną pobite, warunki dla stworzenia prawdziwej demokracji będą dużo mniej korzystne od tych, jakie istniały pod koniec pierwszej wojny światowej. Od czasu jak Hitler zdobył kontrolę nad Rzeszą, młodzież niemiecka została beznadziejnie skorumpowana. Byłby naprawdę głębokim optymistą ten, kto — choćby nawet żył głęboką sympatią dla Niemców — miałby choć cień nadziei, że młode pokolenie będzie kiedykolwiek zdolne do zrozumienia, czym jest demokracja... Uczono ich, aby nie wierzyli w inne ideały, jak w ideał rasy panów i we wrodzone prawo narodu niemieckiego do panowania nad światem... Wpojono w nich zupełną pogardę dla religii i brutalną nienawiść innych ras. Te właśnie miliony Niemców będą w rozkwicie swych sił twórczych w przeciągu dwóch najbliższych dziesięcioleci. Oni będą tą siłą, która będzie panowała w Niemczech. Będzie to siła fanatyzmu i rewanzu...”

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwszym podstępem niemieckiego dowództwa wojskowego będzie popieranie w całych Niemczech wzrostu komunizmu w jego formie rewolucji światowej. Ugruntowanie się w Niemczech komunizmu w formie trockistowskiej czy typu rewolucji światowej daby niemieckiemu sztabowi generalnemu te właśnie korzyści, jakich on szuka. Albowiem, gdy będziemy mieli wojnę za sobą, we wszystkich krajach okupowanej Europy i w wielu innych krajach świata rezultatem wyniszczenia gospodarczego będzie wrzenie konfliktów społecznych. Nowy komunizm niemiecki, popierający doktrynę rewolucji światowej i kierowany

„Za nasza wolność i wasza”

Nowojorski kwartalnik rosyjski „Nowyj Żurnal” przynosi w siódmym zeszycie z b. r. wyjątkowo ciekawy artykuł B. I. Nikołajewskiego, poświęcony wpływom polskich ruchów wolnościowych na rosyjskie: „Za waszą i naszą wolność”. Temat to — pisze autor — bardzo słabo opracowany:

„My w ogóle bardzo słabo znamy historię polskich ruchów. W rosyjskiej literaturze epoki porolucyjnej, która była epoką wyteżonej pracy nad historią ruchów rewolucyjnych tak w Rosji, jak i na całym świecie — dla zbadania ruchów polskich zrobiono nieskończenie mało, — mniej nawet niż w latach przedrewolucyjnych. Jeśli idzie o problem charakteru wzajemnych wpływów, to problem ten — można śmiało powiedzieć — dotychczas w ogóle nie został postawiony w rosyjskiej literaturze historycznej. Nie ma na ten temat prac syntetycznych, jeśli nie liczyć starej dawno już przestarzałej rzeczy Dragomanowa. Dla poszczególnych okresów o problem ten zahażano, ale tylko mimochodem. Nawet materiał dokumentarny, który w wielkiej obfitości znajduje się w starych archiwach, jeśli został ogłoszony, to nie systematycznie, ale przypadkowo, w trakcie prac na inne tematy. Ogromna i bardzo interesująca polska literatura historyczna zupełnie jest przemierzana przez literaturę rosyjską.

Luka to tak znaczna, tak jaskrawo zaznacza się na ogólnym tle rosyjskiej literatury historycznej ostatnich dziesięcioleci, że — rzecz prosta — nie można jej objasnić jakimś przypadkiem. Rosyjscy historycy mieli zainteresowanie dla polskich ruchów. Niektórzy z nich podkreślali nawet ważność opracowania ich historii”.

„Rewolucyjny ruch w Rosji — pisze dalej Nikołajewskij — jest dużo młodszy od ruchu polskiego. Dlatego jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w początkach interesującej nas epoki, w pierwszej połowie XIX wieku, wzajemne stosunki ruchu rosyjskiego i polskiego sprowadzały się niemal że wyłącznie do jednostronnego wpływu doświadczeń rewolucjonistów — Polaków na całkiem jeszcze młodych „zaczynających” rewolucji rosyjskiej”.

„Oni — pisał później Herzen, wspominając swoje wcześniejsze stosunki z polskimi rewolucjonistami — mieli bogatą przeszłość, my — wielkie nadzieje; ich pierś była pokryta szramami, nam tylko krzepły na ich przyjęcie mięśnie. Wydawaliśmy się rekrutami, — wobec nich, weteranów”.

W tych warunkach jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że „rekruci” początkowo patrzyli na „weteranów” z wielkim szacunkiem — że zbliżali się do nich z chęcią nauczania się i naśladowania, a nie sprzeczenia się i pouczenia.

A naprawdę było się czego uczyć: jeszcze na długo przedtem, zanim w Rosji zaczęły formować się pierwsze kadry rewolucyjnej armii rosyjskiej, rewolucjoniści polscy postawili szereg wielkich i skomplikowanych problemów, spośród których wielu sędzone było stać się następnie „wielkimi problemami” rosyjskiego ruchu”.

Pierwszym z ideologów polskich ruchów radykalnych, których wpływ Nikołajewskij omawia, był przyjaźny Rosji Staszyc. Następnie omówiono w artykule echa, jakie wśród rewolucjonistów rosyjskich wywołało Powstanie Listopadowe i rolę jego w formowaniu się polskiej myśli politycznej, przede wszystkim jako punktu zwrotnego, jeśli idzie o stosunek radykałów polskich do Rosji: „Siłą można trzymać naród pod wspólnym dachem państwowym — ale siłą nie można zawojuować

przez zimne i bezwzględne mózgi niemieckiego sztabu generalnego, znalazłby w wielu krajach świata sytuację jakby stworzoną umyślnie dla celów pangermanizmu. Dlatego rodzaj rządu, jaki narodowi niemieckiemu pozwoli się stworzyć, będzie musiał być ustalony drogą wspólnej zgody Narodów Zjednoczonych przy uwzględnieniu tych wszystkich niebezpieczeństw, jakie kryją tajne plany wojenne sztabu generalnego.

Zjednoczone Narody muszą okupować pod kontrolą przyszłej organizacji państwowej poszczególne okręgi Niemiec przez dłuższy przeciąg czasu po wojnie. Przede wszystkim, zbrodniarze wojenni muszą być postawieni pod sąd i ukarani. Powrót do oddania Niemcom władzy musi być stopniowy, zaczynając od samorządu miejskiego, który zostanie oddany w ręce Niemców po wyeliminowaniu wszystkich hitlerowców...

Jeżeli po latach próby dojrzeje w Niemczech nowe pokolenie w takich warunkach, iż ci nowi Niemcy będą świadomi tego, co słowo „wolność” naprawdę znaczy, wtedy będziemy mogli mieć nadzieję, iż demokracja — prawdziwa, a nie sztuczna — zapanuje w całych Niemczech.

Takie traktowanie Niemiec przez Zjednoczone Narody po osiągnięciu zwycięstwa nie będzie ani drakońskie, ani mściwe. Trzeba jednak, formułując je, pamiętać o tej przykrej rzeczywistości, iż Niemcy dwukrotnie w ciągu czterechwiecia przyniosły ludzkości wojnę i zniszczenie. Narody świata są zmuszone do pilnowania — jeśli chcą nadal żyć i jeśli chcą, aby w świecie nadal istniało to wszystko, co jest dla nich najdroższe — aby rasa niemiecka nie stała się raz jeszcze klęską ludzkości”.

.....
przyjaźni tego narodu. Na odwrót: przymus niszczy wzrastające pędy przyjaźni. Nastroje sympatii i zbliżenia do Rosji, których wyrazicielem był Staszyc, po roku 1831 niemal że zupełnie nikną wśród polskiej inteligencji. Zamiast nich przychodzi uczucie palącej nienawiści. Te właśnie żywąc uczucia, polscy powstańcy r. 1831 opuszczają swoją ojczyznę, aby zanieść je wszędzie, gdziekolwiek ich tylko rzuci los. Los zaś rozrzucił ich po całym świecie, — i wszędzie stali się oni zdecydowanymi i zawziętymi propagandystami przeciw Rosji, przeciw wszystkiemu co rosyjskie. Ich własna ideologia przeniknięta jest ostrą rusofobią...”

Najwięcej miejsca poświęca autor w artykule stosunkom z Polakami Bakunina: jego związkom z Lelewalem, Worcelem i Mierosławskim. Szczególnie ważne — zdaniem jego — były wpływy Lelewela:

„Biografowie Bakunina — są oni tak liczni — do dziś dnia mało zwracają uwagi na jego polskie związki, zwłaszcza na jego związki z okresem lat czterdziestych. A właśnie w tych polskich związkach szukać należy rozwiązania problemu. Szczególnie ważna wydaje się znajomość Bakunina z Joachimelem Lelewalem — wielkim polskim uczonym i wielkim demokratą. W literaturze rosyjskiej jest on mało znany, literatura sowiecka zupełnie go nie uznaje. A tymczasem z pełnym uzasadnieniem można go uważać za praocję nie tylko polskiego „gminowładztwa”, ale i rosyjskiego „narodniczeństwa”. — W r. 1844 Bakunin pojechał do Brukseli w celu spotkania się z Lelewalem. Lelewel wpłynął na Bakunina w trzech kierunkach: przez swoją teorię „gminowładztwa”, przez swoją koncepcję roli szlachty jako „rewolucyjnych drożdży” i wreszcie przez swoje potraktowanie problemu słowiańskiego. Rzecz prosta, wpływów Lelewela na Bakunina nie można rozumieć jako biernego przejmowania cudzych poglądów: Lelewel dostarczał tu bodźców, Bakunin wysuwał z jego teorii dalsze, radykalne konkluzje.

Bardzo ciekawe jest i to, co autor opowiada o kontaktach polskich Bakunina w r. 1848. Na wieść o powstaniu Bakunin jedzie do Berlina, w celu spotkania się z Mierosławskim. Przyjeżdża tam jednak już za późno. Wobec tego za fałszywym paszportem, — dostarczonym mu przez władze pruskie, — udaje się do Myslowic, gdzie kontaktuje się z polskimi rewolucjonistami.

Na r. 1848 opowiadanie Nikołajewskiego się urywa. Z zakończenia jednak jego artykułu można wnioskować, że chce on poprowadzić swoją narrację i dalej, w późniejsze lata. Byłaby ona cenna dla nas jeszcze i z tego względu, że prace Nikołajewskiego oparta jest i na studiach archiwalnych, m. inn. także i na zbiorach Rapperswillskich. Autor twierdzi, że systematyczne przestudiowanie teczek z tych zbiorów, poświęconych „Lidze Słowiańskiej”, pozwoliłoby na nowo przemysleć biografie młodego Bakunina: „Tylko czy dochowały się one? Wieści, które nadchodzą z Warszawy (pisane to było jeszcze — rzecz prosta — przed powstaniem warszawskim — *przyp. tłum.*), wywołują silny niepokój o losy Zbiorów Rapperswillskich, Zbiorów w swoim rodzaju jedynych w świecie i tylko w drobnej części wyzyskanych. Biblioteka tego Zbioru niewątpliwie zginęła, a były w niej setki *unikatów* nie tylko z polskiej, ale i z francuskiej, niemieckiej i innych rewolucyjnych literatur. Jak dotychczas, nie wiadomo, co stało się z rękopisami”.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

wydanie drugie
Cena 200 milsów.

NOWOŚĆ!

W najbliższych dniach
ukaze się tom poezyj

Marii Petry

STRUNY

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „W DRODZE”

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA DLA DZIECI:

AWANTURY I WYBRYKI MAŁEJ MAŁPKI FIKI MIKI

Tekst K. MAKUSZYŃSKIEGO

Wielobarwne ilustracje M. WALENTYNOWICZA

Cena: 300 milsów.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dnia 2 października Warszawa padła. Padła po dziewięciu tygodniach walki, nie doczekawszy się skutecznej pomocy. Zniszczenia miasta, które rozpoczął Wrzesień 1939 r., dokonał wrzesień 1944 r. To była nasza piątka.

W całym cywilizowanym świecie powstanie warszawskie wywołało wstrząs sumień i z całego świata przyszły wyrazy holdu dla Warszawy. Ale bardziej od holdów Warszawie potrzeba w tej chwili od świata realnej pomocy. Sprawa pomocy dla Warszawy nie skończyła się bowiem z chwilą upadku powstania. Palącą pozostała sprawa jak najwydatniejszej międzynarodowej opieki nad losem tych kilkuset tysięcy mieszkańców stolicy, którzy bądź to zostali wywiezieni, bądź też wywakuowali się z niej, bądź wrzeszczą żyjąc jeszcze w jej ruinach. Ludzie ci pozostali bez dachu nad głową, — a jest to przecież już październik, — szerzą się wśród nich epidemie. Jeśli mają oni przeżyć, potrzebna im jest jak najwydatniejsza pomoc w odzieży, żywności, medykamentach. Mają oni prawo domagać się tej pomocy od świata.

Rezultaty polityczne powstania zostały najtrafniej i najmocniej ujęte w artykule, jaki się ukazał w londyńskim „The Economist” z dnia 7 października b. r. Poziomem swoich artykułów i bezstronnością ujęcia — wiadomą jest rzeczą, iż pismo to nie uprawia żadnej „propagandy” — „The Economist” dawno już wybił się na czoło politycznych tygodników brytyjskich. Tym wywniośniejszy jest jego głos. We wspomnianym artykule podniesiono przede wszystkim, że skoro marsz. Stalin zapowiadał p. Mikołajczykowi zajęcie Warszawy przez wojska sowieckie na dzień 6. sierpnia, daty wybuchu powstania nie można było uważać za przedwczesną. Podkreślono też, iż „powstanie warszawskie jasno pokazało, do jakiego stopnia partie polityczne w rządzie Mikołajczyka naprawdę reprezentują naród. Pokazało ono także, jak małe są wpływy polityczne, wywierane przez stworzony z poręki sowieckiej Komitet. Powstańcy warszawscy krwią przypieczętowali swoją wierność dla swego rządu. Powstanie nie ograniczyło się do drobnych grup wojskowych. Zostały w nie wciągnięte wielkie masy ludowe. Z drugiej zaś strony Komitet był tak zaskoczony przez powstanie, że nawet początkowo zaprzeczył, iż w Warszawie mają miejsce walki. Jest rzeczą oczywistą, iż fakty te są lekcją, i to lekcją tylko dla Rosjan. Jeśli naprawdę chcą oni szczerego porozumienia z narodem polskim, muszą zrewidować swoje stanowisko wobec rządu polskiego” („It is surely obvious that these facts have one lesson, and one lesson only for Russians. If they really want genuine agreement with the Polish people they must reconsider their attitude towards the Polish government”).

Czy Rosjanie stanowisko to zrewidują? Pytanie to jest obecnie bardziej aktualne niż kiedykolwiek. Premier Mikołajczyk znów pojechał do Moskwy, składając w ten sposób raz jeszcze dowód maximum dobrej woli przyjaznego rozwiązania konfliktu polsko-sowieckiego, tej dobrej woli, której — niestety — nie znaleźliśmy u Rosjan w czasie powstania warszawskiego. Tym razem sytuacja jest inna niż przed dwoma i pół miesiącami: rolę pośrednika w rozmowach wzięli na siebie Anglicy.

Stanowisko swoje w konflikcie sprecyzował premier Churchill ostatnio w mowie, wygłoszonej w Izbie Gmin dn. 28 września. Przyniosła ona nam jeszcze raz rozczarowanie. Premier brytyjski powtórzył, że uważa za słuszne rosyjskie żądania graniczne. Konflikt polsko-sowiecki polega jednak nie tylko na tym, że ZSRR postawił wobec Polski pewne żądania, ale i na tym, że w sprawach, będących przedmiotem konfliktu, rząd sowiecki uważał się nie tylko za stronę, ale i za arbitra, i to za arbitra wyłącznego. Premier brytyjski dał też wyraz zainteresowaniu rządu brytyjskiego w uregulowaniu konfliktu. „Uznajemy naszą szczególną odpowiedzialność i dług wobec Polski”, powiedział wówczas.

Oświadczyli to też liczni członkowie Izby Gmin, którzy zabierali głos w dyskusji parlamentarnej, poświęconej mowie premiera. Głosy te były liczne i już ilością swoją podkreślały, iż sprawa polska jest dziś problemem kluczowym w obozie Sprzymierzonych. Członkowie Izby Gmin, zabierający głos w dyskusji, dawali wyraz swojemu zaniepokojeniu stanem konfliktu polsko-sowieckiego, przy czym, jak dyskusja pokazała, powody tego zaniepokojenia są wielorakie.

Bardzo wyraźnie ujął to w swym przemówieniu kpt. Allan Graham. Powiedział on: „Kiedy Stalin mówi: „Odbudujemy waszą niepodległość i wolność” — mówi on Polsce w imieniu rządu sowieckiego. „Tak, możecie mieć waszą niepodległość, lecz Rosja wykreślił wasze granice; możecie mieć waszą wolność, lecz Rosja wybierze wam rząd i pośrednio będzie kontrolować waszą politykę”.

Przed uczestnikami dyskusji stanęło groźne pytanie: czy wielkie ofiary pięciu lat wojny nie pójdą na marne?

W dyskusji dźwięczała też silnie nuta niepokoju o to, że metody załatwienia sprawy polskiej skompromitują zasady współpracy międzynarodowej po wojnie. Nie jest to zaś bynajmniej sprawa tylko sentymentów i frazesów, jakby to się niektórym krótkowzrocznym „realistom” mogło wydawać. Zadanie polityczne i gospodarcze odbudowania rozpaczyliwie zrujnowanej Europy będzie nad wyraz trudne. Na to, aby zadanie to mogło być przeprowadzone pomyślnie, konieczne jest jak najwydatniejsze zmobilizowanie ideowych sił narodów europejskich. Zmobilizowanie to zaś może nastąpić tylko wtedy, jeśli w świecie będzie panowało przekonanie, iż stosunki między narodami zostały ułożone w myśl zasad, które uznane zostały za zasady słuszne, odpowiadające poczuciu sprawiedliwości.

Wszystkie plany niemieckie wyzyskania anarchii, jaka może zapanować po ich klęsce wojennej, opierają się na założeniu, że państwa Sprzymierzone tych sił moralnych nie potrafią w Europie zorganizować. Prawda, Niemcy nie doceniły znaczenia tych sił moralnych już w trakcie wojny, i w znacznej mierze dlatego ją przegrywały. Żołnierz polski, brytyjski czy rosyjski bił się w trakcie tej wojny tak dobrze i dawał z siebie, co miał najlepszego, bo był głęboko przekonany, że broniącej się przeciwko agresji niemieckiej, broni sprawę słuszną. Żołnierz francuski nie miał w r. 1940 pewności, iż sprawa, za którą się bije, jest

sprawą słuszną (czy warto „umierać za Gdańsk”?), w r. 1944 rozumiał, że bije się o to, aby na francuskiej ziemi móc swobodnie oddychać francuskim powietrzem — i bije się wspaniale. Podobnie, po wojnie narody europejskie zdobędą się z własnej woli na te wielkie ofiary, jakich regeneracja Europy będzie wymagała, tylko wtedy, jeśli się je zdoła przekonać, że są to ofiary w słusznej sprawie, to znaczy, że nie są one narzędziem obcych mocarstw, ale społeczeństw narodów wolnych, które same stanowią o swoim losie, a jeśli rezygnują z części swoich praw suwerennych, to w równej mierze. Swoim dotychczasowym postępowaniem wobec Polski jeden z najpotężniejszych członków Zjednoczonych Narodów wiarę tę dotychczas podcinał.

Najślabiej może doszedł do głosu w dyskusji niepokój o to, że ZSRR, organizując na własną rękę swoją Polskę, narusza w ten sposób równowagę sił w Europie. Jeśli się tak jednak rzeczy mają, to przede wszystkim dlatego, że powojenny układ sił w Europie nikomu jeszcze nie przedstawia się w sposób jasny i wyraźny. Zależą on w pierwszym mierze od tego, na jaką politykę wobec Niemców Sprzymierzeni się zdołają. Wydarzenia ostatnich miesięcy: ataki latających bomb i fanatyczny opór niemiecki na frontach oraz wiadomości o przygotowywanej przez Niemców partyzantkę, wszystko to sprawia, że w państwach anglosaskich coraz głośniej przychodzi do głosu kierunki, domagające się rozwiązania radykalnych, takich, któreby nie tylko wyrwały Niemcom pazury, ale i nie pozwoliły im odrosnąć w najbliższym pokoleniu. Znaczy to, że w samym centrum Europy na okres najbliższych kilkudziesięciu lat powstałaby pewna pustka. Ale w takim wypadku wszelkie zmiany równowagi sił gdzieindziej byłyby tym silniej odczuwane.

Czy rozmowy moskiewskie znajdują rozwiązanie konfliktu? Wszystko zależy od tego, w jakiej mierze brytyjskim meżom stanu uda się wyperswadować marsz. Stalinowi zmianę jego polityki wobec Polski. Tu leży bowiem główna przeszkoda na drodze do rozwiązania konfliktu. Dziś, po doświadczeniach powstania warszawskiego i okoliczności dyplomatycznych, jakie mu towarzyszyły, rozumie to cała prasa brytyjska. Cała bez wyjątku, Moglibyśmy bez trudu przytaczać długie cytaty z pism angielskich, usposobionych przychylnie do Polski. Ograniczymy się tu jednak do cytatu z pisma, które spośród poważnych periodyków angielskich jest stanowczo usposobione do nas najbardziej wrogo. Mówię tu o tygodniku „The New Statesman and Nation”. Pismo to wyspecjalizowało się ostatnio w atakach na Rząd Polski i w

popieraniu „patriotów”. A jednak i ono musiało przyznać — w artykule „The Polish Rift” z 9 września b. r. — że rosyjskie zwleknięcie z pomocą dla Warszawy było dowodem ze strony rosyjskiej krótkowzroczności politycznej oraz iż jeśli przeprowadzenie przez Rosjan sprawy polskiej będzie „decyzją faktu dokonanego i polityki siły (decision of fact and power), a nie kompromisu i ugody, rozpoczniemy okres powojenny z rakiem poczucia krzywdy (with a cancer of resentment), które podminie nadzieje na światowe porozumienie i pokój światowy”.

Na pewno omawiano w Moskwie też wypracowane na konferencji w Dumbarton Oaks propozycje nowej organizacji bezpieczeństwa zbiorowego. Projekt jest kompromisem między zasadą oparcia nowej organizacji wyłącznie o wielkie mocarstwa a tą zasadą, jaką w teorii reprezentowała dawna Liga Narodów, mianowicie zasadą równości wszystkich państw, wielkich i małych. Jako duży krok naprzód trzeba tu podkreślić obecność wśród państw, mających stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa, także i Francji. Projektodawcy, przyznając że Francji, obwarowali je jednak dosyć enigmatycznym zastrzeżeniem, głoścącym, iż miejsce to Francja otrzyma „we właściwym czasie”. Nie podano, jakie warunki Francja musi spełnić, aby czas ten został uznany za „właściwy”. Czyżby projektodawcy uważali, że Francja w tej chwili nie osiągnęła jeszcze tego stopnia mocarstwowej konsolidacji politycznej i gospodarczej co, powiedzmy, Chiny?

Niejasności w projekcie jest wiele. Powiedziało w nim, że w skład światowej organizacji bezpieczeństwa wejdą wszystkie „miliujące pokój” narody. To znaczy, jakie? Czy Włosi są już „miliującym pokój” narodem, czy jeszcze nie? A Bułgaria? A Turcja? Publicystyka aliancka mocno podkreślała ostatnio, że w swym umiłowaniu pokoju Turcy poszli za daleko, że sprawili tu Wielkiej Brytanii zawód. Czy wobec tego zasługują na nazwę narodu „miliującego pokój”?

Wszystkie te zastrzeżenia są jednak drugorzędne wobec jednej zasadniczej wątpliwości: jakie sankcje będzie mogła nowa instytucja stosować wobec wielkich mocarstw, zagrażających przyszlęmu pokojowi. Jest bowiem rzeczą jasną, że prawdziwe zagrożenie pokoju może przyjść tylko ze strony wielkich mocarstw. „Małe” państwa, wiadomo, nie sprawią tu wielkiego kłopotu. Ostatecznie i dawna Liga Narodów potrafiła załatwić konflikt między Boliwią a Paragwajem. Jak jednak będą wyglądały możliwości funk-

cjonowania nowej organizacji z chwilą, kiedy jedno z mocarstw zacznie zdradzać zamiary agresywne. Ujmijmy sprawę konkretnie: przypuśćmy, że Wielka Brytania dojdzie do przekonania, że względy na bezpieczeństwo zmuszą ją do uzyskania granic strategicznych i wobec tego zaanektuje część terytorium Belgii i Holandii, na protesty zaś odpowie, że skoro wojska Imperium oswobodziły terytorium Belgii i Holandii, zyskało ono wobec tego prawo do wytyczania granic tych krajów według swego uznania. Jakie będą w takim wypadku możliwości Rady Bezpieczeństwa powiedzenia: nie?

Żeby móc na to pytanie odpowiedzieć, musimy przede wszystkim wiedzieć, jak będą przechodzić decyzje w Radzie: większością głosów czy jednomyślnie. Jeśli większością, to — oczywiście — Rada może jednego ze swoich członków uznać za napastnika i starać się zastosować wobec niego sankcje, jeśli jednak jednomyślnie, w takim razie Rada może być instrumentem pokoju tylko wobec państw „małych”, które same — bez wielkomocarstwowej pomocy — pokoju tego nigdy nie będą w stanie zagrozić. Depesze z Moskwy donoszą, że gazety moskiewskie „Czerwona Gwiazda” i „Izwestia” „energicznie domagają się („insist strongly”), aby przyjęto zasadę jednomyślności w głosowaniach Rady Bezpieczeństwa. Jeśli tak, to — rzecz oczywista — cała organizacja zupełnie nie będzie krepowała swobody ruchów wielkich mocarstw i nie będzie żadną gwarancją zabezpieczenia pokoju przeciwko chęci agresji jednego z nich. Trudno przecież przypuścić, aby przedstawiciel któregoś z mocarstw głosował przeciwko swemu rządowi. Jeśli przyjąłby zasadę jednomyślności, Rada byłaby tylko trybunałem, przy którego pomocy wielkie mocarstwa sprawiałyby kontrolę nad polityką państw „małych”, trybunałem, do którego dla decorum dopuszczonyby jeszcze kilku przedstawicieli tych „małych” państw. Skutecznie mogłyby on w takim wypadku działać tylko wtedy, kiedy wielkie mocarstwa będą zgodne między sobą, to znaczy wtedy, kiedy nie będzie potrzebny.

13.10.44.

ww.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

O NUMERZE LIBAŃSKIM „W DRODZE”

Kairski dziennik „Journal d’Egypte” pisze w numerze z dn. 23 września b. r. o numerze libańskim „W Drodze”:

„Wielkie pismo polskie, polityczne i literackie „W Drodze”, wydawane w Jerozolimie od zgorą roku przez Polskie Centrum Informacji na Wschodzie, poświęciło specjalny wspaniały numer Libanowi. Publikacja ta, składająca się z dwunastu wielkich stron artykułów i fotografii, jest ponadto ilustrowana rysunkami sławnego artysty polskiego, Feliksa Topolskiego.

Numer przynosi mnóstwo interesujących szczegółów na temat stosunków polsko-libańskich w przeszłości. Podczas drugiego oblężenia Akry r. 1840 artyleria fortecy kierował polski oficer plk. Schmidt. Pobyt ważnej polskiej misji wojskowej, mianowicie gen. Dembińskiego, na dworze Mohameda Aly’ego wywarł głęboki wpływ na Liban, gdzie wielu członków tej misji przebywało, przez czas dłuższy.

Niewielu z cudzoziemców wie, że to właśnie na Libanie, w klasztorze Bechtaszau, zostało napisane jedno z wielkich arcydzieł poezji polskiej, „Anelli” Słowackiego.

Pod koniec XIX w. Polak, Muhaffez Pasza-Czajkowski, był gubernatorem Libanu. Aż do r. 1860 polski pułk dragonów sultańskich stacjonował w górach Libanu (uwaga ta jest niecisła: oddziały polskiego pułku dragonów sultańskich plk. Langego stacjonowały na Libanie do r. 1880 — przyp. red.). W Bejrucie właśnie wyładowały w r. 1940 pierwsze transporty polskich żołnierzy, z których utworzono następnie Brygadę Karpaków. Tam też gen. Sikorski przewodniczył ostatniej większej konferencji politycznej w swym życiu i wygłosił swoje ostatnie przemówienie na kilka dni zaledwie przed tragiczną śmiercią.

Przed niewielu dniami szef polskiego Biura Prasowego w Bejrucie, p. Łączkowski, został przyjęty przez prezydenta Republiki Libańskiej, któremu wręczył egzemplarz numeru specjalnego „W Drodze”, poświęconego Libanowi. Prezydent zainteresował się nim żywo, gratulował autorom i wyraził życzenie zobaczenia go w przekładzie francuskim. Egzemplarze pisma zostały również wręczone prezesowi Rady Ministrów, p. Riadowi bey Solhowi, i ministrowi spraw zagranicznych, p. Selimowi bey Takli.

— Paryski tygodnik „La Marseillaise” w numerze z dn. 16 września przedrukował w skróceniu z nr. 17 (35) z dn. 1 września „W Drodze” artykuł Bohdana Łączkowskiego „Warszawa”.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze 19 (37) „W Drodze” reprodukowaliśmy na pierwszej stronie wydany przez Centrum Informacji plakat pomocy dla Pruszkowa, podając błędnie, iż był on projektowany przez p. Tadeusza Terleckiego. W związku z tym otrzymaliśmy sprostowanie od p. Tadeusza Terleckiego, który pisze: „Umieszczony napis pod fotografią plakatu „proj. Tadeusz Terlecki” jest pomyłką”, oraz od właściwego autora projektu, arch. Józefa Bychowca, informujący, iż „Plakat pomocy dla Pruszkowa został opracowany graficznie przez Józefa Bychowca na podstawie materiału, dostarczonego przez Centrum Informacji na Wschodzie, przy technicznej pomocy (litografia) art. malarza Tadeusza Terleckiego”.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”
ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ
TEODORA PARNICKIEGO
SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

Nowość!

Nowość!

JAN PARANDOWSKI

DYSK OLIMPIJSKI

POWIEŚĆ

Wydanie trzecie — — Stron 247

Cena 250 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazała się książka

Inż. ANTONIEGO KOTIŹYŃSKIEGO
ROLNICTWO PALESTYŃSKIE
I
OSADNICTWO ŻYDOWSKIE
W PALESTYNIE

Stron 217 i 10 ilustracji

Cena 250 milsów.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

ukazały się w najbliższych dniach dwie książki wojenne:

WŁADYSŁAWA CHOMY

TOBRUK — GAZALA

ROMANA FAJANSA

WŁOCHY — 1944

Obie książki będą ilustrowane mapami i zdjęciami.

Cena każdej książki: 250 milsów.